

JESTEŚMY W INTERNECIE!

www.polska.lex.pl/prasa/Przegląd-Lubanski

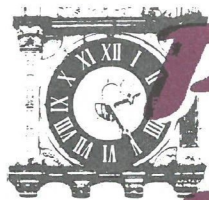
e-mail: Przegląd.Lubanski@polska.lex.pl

• LUBAŃ (MIASTO I GMINA)

• OLSZYNA • LEŚNA

• PLATERÓWKA

• SIEKIERCZYN



PRZEGŁĄD LUBAŃSKI

MIESIĘCZNIK LOKALNY

NR 4 (76)
KWIECIEŃ 1998
CENA 1,50 zł

INDEKS 321745 ISSN 1232-6119



fort. Zbigniew Binkiewicz

Złote pary w Leśnej

(czytaj na str.2-3)

W numerze m.in.:

- o doktorze Lucjanie Kopciu; jego partyzanckie wspomnienia
- podziemne zagadki III Rzeszy na ziemi lubańskiej
- Tadeusz Wróbel - historia żołnierza opowiedziana raz jeszcze
- poezja Elżbiety Śnieżkowskiej-Bielak
- skarby Zamku Czocho w...Siekierczynie!
- Bukowińczyk - historia Nowej Żadowy
- czar starych aptek
- aktualności, listy, kronika policyjna
- wkładka - POWIATOWE ABC

NA ŚWIĘTA 28 STRON!

Naszym Czytelnikom
i Przyjaciołom
życzenia spokojnych i wesołych
Świąt Wielkanocnych
składa
redakcja

Firma
handlowa

„MOZAIKA”

Lubań

ul. Spółdzielcza 12

tel. 722-21-57

Oferujemy szeroki asortyment materiałów:

- płytki ceramiczne i podłogowe „Opoczno” - łączniki firmy „KNAUF”
- kleje i fugi
- styropian, system dociepleń firmy „CERESIT”
- listwy wykończeniowe do płytek
- tynki mineralne i żywiczne
- sanitariaty
- rotband, pianki montażowe
- szeroką gamę narzędzi
- suchą farbę wewnętrzną (1,4 zł za litr)
- listwy do mokrych i gipsowych tynków
- suchą farbę zewnętrzną (2,8 zł za litr)
- regipsy, profile, blachowkręty, taśmę,

Przy zakupach hurtowych udzielamy 5% rabatu. PROWADZIMY SPRZEDAŻ RATALNĄ

Zapraszamy w godz. 8.00 - 18.00, w soboty 8.00 - 14.00

LEŚNA Z życzeniami szczęśliwej, trzeciej młodości Złote pary w Leśnej



W sobotę, 14. marca w Domu Kultury w Leśnej miała miejsce niecodzienna uroczystość. Swoje złote gody, 50-lecie pożycia małżeńskiego obchodziło 7 par: Stanisława i Franciszek Adamscy, Jan i Antonina Ginowiczowie, Genowefa i Antoni Kopaczowie, Marianna i Jan Misztalowie (wszyscy z Leśnej), Stefania i Stanisław Ociepowie z Czochy, Zofia i Franciszek Zimmermannowie z Miłoszowa, Genowefa i Władysław Majkutowie. Pan Majkut przybył, niestety bez chorej mał-



Na łamach PL śledziliśmy losy państwa Stefania i Stanisława Ociepów.

żonki. Wśród par szczególnie blisko śledziliśmy losy państwa **Ociepów**. Były one prezentowane w „Przeglądzie” w kilku artykułach: Ociepów losy niezwykle (6/96), Przypadek Stanisława Ociepy (cz.I - 9/97, cz.II - 10/97). Związcząca po tych ostatnich zwróciliśmy się na naszych łamach w liście otwartym do burmistrza Leśnej ze wskazaniem na powinność władz, by godnie uhonorować dostojną parę, której 31 maja br. minie już 53 lata na wspólnej drodze. Burmistrz obiecał, że to spełni i ... słowa dotrzymał!

Dostojni Jubilaci! - powiedział burmistrz Leśnej, Zbigniew Ławniczak. *Taki dzień jak dzisiaj jest okazją do chwili refleksji. Możecie być wdzięczni swoim rodzicom za geny długowieczności, Bogu za szczęśliwy los, sobie za chwile namiętności, które rozpalone uczuciem miłości doprowadziły was na ślubny kobierzec. Małżeństwo jest jednym z najtrudniejszych zadań człowieka na tej ziemi. Szczęśliwi są ci, którzy cały czas są jednocześnie dla siebie mężem i żoną, przyjacielem i kochankiem. Nie każdemu świeci przez cały czas szczęśliwa gwiazda a życie nie jest bajką. Wymarzony przez nas*



Od lewej: Genowefa i Antoni Kopaczowie, Antonina i Jan Ginowiczowie, Marianna i Jan Misztal,

ZNANY BIOENERGOTERAPEUTA Marian SZUMIŃSKI

przyjmuje w Lubaniu w każdy poniedziałek w godz. 16-18
w Świątyni Spółdzielni Mieszkaniowej
ul. Łużycka (Osiedle „Piastów”)

artgraf **PROJEKTOWANIE
SKŁAD KOMPUTEROWY
DRUK - SITODRUK
REKLAMA**
POLIGRAFIA tel. (0-75) 722-26-68

WYKONUJE USŁUGI W ZAKRESIE:

- ✓ **SITODRUKU** (naklejki na papierach i foliach samoprzylepnych, nadruki na torbach foliowych, tekstyliach, akcesoriach reklamowych itp.)
- ✓ **REKLAMY** (reklama wizualna - tablice reklamowe, szyldy przestrzenne, reklama prasowa i radiowa, wydawnictwa reklamowe, fotografia)
- ✓ **POLIGRAFII** (druk akcydensów, wizytówek, zaproszeń, papierów firmowych, etykiet, folderów, kalendarzy, plakatów itp.)

a także:

- skład komputerowy, projekty i opracowania graficzne;
- pieczątki, nietypowe oprawy stemplarskie;
- produkcja upominków reklamowych.

SOLIDNIE, TERMINOWO, PO KONKURENCYJNYCH CENACH!

CZOCHA Z Biskupina na Zamek Czocha!

Jak się dowiadujemy, po zdjęciach w Biskupinie realizatorzy filmu „Ogniem i mieczem” przenoszą się do wnętrza Zamku Czocha. 1 kwietnia br. rozpoczynają się tygodniowe zdjęcia do sienkiewiczowskiej epopei. W tym dniu przyjmowane będą zapisy statystów (mężczyzn) do ujęć plenerowych pod zamkiem. W Biskupinie „dniówka” zdjęciowa wynosiła 50,00 zł, u nas ma być podobnie. Może warto skorzystać z okazji! (inf.wł.)



Dziwny „upór” architekta miejskiego

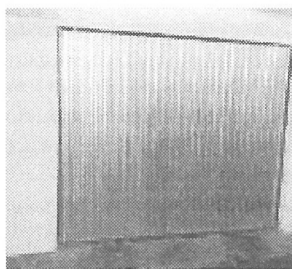
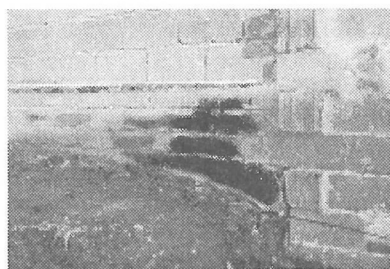
Chciałbym zainteresować redakcję sprawą, której nie mogę rozwiązać ze względu na „dziwny upór” panów z Urzędu Miasta. Moje problemy zaczęły się z chwilą budowy garażu na Osiedlu Piast II. Urząd Miasta sprzedał mi oraz bratu działki nr 10/223 i 10/222 pod zabudowę szeregową garaży. Ze względu na ukształtowanie terenu posadowienie garaży jest stopniowane co 7 cm (wg projektu zabudowy). Działki te są położone poniżej drogi objazdowej i są zalewane wodą z opadów atmosferycznych (brak odwadniania terenu). Moi sąsiedzi p. Jerzy U. oraz Józef K. z tego powodu podnieśli samowolnie stany zerowe swoich garaży o 50 cm i tak je wybudowali. Po moim powrocie z urlopu nasze działki były zalane wodą, więc po konsultacji z kierownikiem budowy podnieśliśmy nasze stany zerowe o 30 cm. Na budowie pojawili się inspektorzy z nadzoru budowlanego i stwierdzili zbyt wysokie posadowienie naszych garaży, brak tablic informacyjnych i ukarali nas mandatem po 50 zł. Podniesiona zabudowa garaży sąsiadów panom inspektorom nie przeszkadzała! Poszedłem więc do biura architekta miejskiego p. Wojciecha Janowskiego z prośbą o możliwość podniesienia posadowienia naszych garaży ale dostałem kategoryczną odmowę oraz nakaz doprowadzenia budowy do stanu zgodnego z mapką geodezyjną - więc tak zrobiłem.

scenariusz szczęśliwego małżeństwa jest często burzony niedostatkiem, problemami zawodowymi, zawiścią innych ludzi, intrygami czy też w końcu trudnymi charakterami naszych dzieci. One niekiedy potrafią doprowadzić do złamania naszego serca i bezsennych nocy. W dzisiejszych, trudnych czasach, w okresie dużej tolerancji i swobody obyczajowej, trwale małżeństwa są drogowym wzorem. Szanujemy i podziwiamy Was a złożony podpis Prezydenta naszego państwa na Waszych legitymacjach jest potwierdzeniem wagi problemu i szacunku, jakim obdarza Was Państwo Polskie. Życzę Wam, Dostojnym Jubilatów w imieniu własnym i władz miasta - długiego, szczęśliwego życia, pogody ducha i wszelkiej pomyślności. Życzę Wam wszystkim szczęśliwej, trzeciej młodości.

Podziękowania władzom miasta i pracownikom USC w Leśnej złożył jeden z jubilatów, pan Jan Misztal, mieszkaniec Leśnej od 1945 roku. Postaramy się dotrzeć w naszych związkach do 60-lecia - mówił z uśmiechem - w podobnej jak dziś kondycji.

Cieszy liczna obecność na uroczystości lokalnych mediów, bo jubileusz taki jak ten wymaga również godnej informacji. Jak zdążyliśmy się zorientować, wspólny życiorys każdej z par to temat na niejednego artykuł czy program telewizyjny. Warto prześledzić te losy.

tekst i zdjęcia: Janusz Skowroński



Po wybudowaniu garaży zgodnie z projektem okazało się, że p. Jerzy U. oraz Józef K. napisali do architekta podanie o podwyższenie posadowień swoich garaży o 25 cm i dostali taką zgodę! Przy takiej zabudowie i różnicy ok. 30 cm między sąsiadującymi ze sobą garażami woda spływa do najniższej położonego miejsca którym jest mój garaż i zalewa go. Dzieje się to przy obfitych opadach a w okresie zimowym (jeśli jest choć trochę śniegu) zamarzają mi drzwi i muszę odkuwać lód aby dostać się do samochodu. Poszedłem więc na skargę do burmistrza pana Wiesława Wydry, który to burmistrz wysłał dla wyjaśnienia sprawy dwóch panów inspektorów z nadzoru budowlanego. Panowie inspektorzy sprawdzili budowy i stwierdzili że pan Józef K. budując jako ostatni w szeregu dwie ściany nie wylał wymaganych wg projektu fundamentów, zamiast 0,80 m wysokości wylał tylko 0,25 m - więc panowie inspektorzy mieli zająć się tą sprawą.

Po upływie miesiąca nie dostałem żadnej odpowiedzi więc napisałem skargę do burmistrza opisując cały problem.

Po trzech(!!) miesiącach oczekiwania dostałem pismo nr VAN7356/R/97 w którym pan architekt stwierdza, że znaczne podwyższenie stanu u moich sąsiadów powoduje zakłócenia w prawidłowym odprowadzaniu wód opadowych, które znajdują ujście w garażach sąsiednich. Odpowiednie prace będą wykonane w miesiącach wiosennych bieżącego roku. Nie mogąc wyegzekwować wykonania decyzji (dzwoniłem co miesiąc do urzędu) udałem się do Wojewódzkiego Urzędu Nadzoru Budowlanego w Jeleniej Górze, którego inspektor nakazał wszczęcie Urzędowi Miasta postępowania administracyjnego. W piśmie nr VAN7355/5/97 pan architekt umorzył postępowanie administracyjne i stwierdził po wizji lokalnej na terenie budowy, że powodem zalewania garażu jest brak docelowej drogi oraz odprowadzania wód opadowych oraz że podwyższenie garaży sąsiadów nie wpływa na tę sytuację i decyzja o podniesieniu wysokości garażu była zasadna.

Architekt zaprzeczył więc swoim poprzednim pismom, w których przyczyną zalewania była zbyt duża różnica w posadowieniach sąsiadujących ze sobą garaży. Zasadna decyzja o podwyższeniu stanów zerowych garaży byłaby wtedy, gdyby wszystkim inwestorom podniesiono wysokość budowy powyżej drogi, wtedy problem zalewania by nie istniał. Myślę, że przyczyną tej sytuacji jest to, że pan mgr inż. architekt nie wie, jak zachowuje się woda gdy zmienia poziomy, czy płynie z góry do dołu czy odwrotnie co pokazuje nam w swoich decyzjach. W trzech rzędach wybudowanych garaży zgodnie z projektem nie występują problemy zalewania bo

LOG-INFO

USŁUGOWY ZAKŁAD INFORMATYKI

59-800 Lubań ul. Podwale 7 tel./fax 722-67-00

59-900 Zgorzelec ul. Batorego 1c tel./fax 77-17-669

**POLECA TANIE I BARDZO DOBRE
KASY FISKALNE ADAX - FASY!**



Okazja!

nowe modele

współpracujące z komputerem!

dostawa, montaż,

fiskalizacja,

szkolenie i stały serwis!

architekt nie zmienił wysokości posadowień. W piśmie nr VAN7355/5/97 architekt wskazuje, że ja nigdy nie napisałem podania o podwyższenie stanów zerowych garaży. Chciałem więc przypomnieć, że osobiście architekt nakazał doprowadzenie podwyższonych fundamentów do wysokości zgodnych z projektem, więc nie było sensu pisanie podania i skąd takie nagle braki pamięci! Po moim odwołaniu się od tej decyzji inspektor wojewódzki zarządził wizję lokalną. W czasie wizji lokalnej inspektor wyjaśnił, że droga objazdowa nie będzie obniżona, bo Urząd Rejonowy w Lubaniu nie ma pieniędzy oraz że podjęcie decyzji o zmianie wysokości było zrobione niezgodnie z obowiązującym prawem, albowiem zmianę w projekcie mógł zrobić albo Urząd Rejonowy lub architekt miejski.

Decyzje o zmianach podpisali inspektorzy miejscy. Urząd Wojewódzki podjął decyzję, że mimo tych formalnych uchybień panowie Jerzy U. oraz Józef K. nie dokonali samowoli budowlanej. Całą winę za obecną sytuację Urząd Miasta Lubań znalazł w złym projekcie oraz w... zbyt dużej wysokości drogi. Ja natomiast uważam, że jeżeli panowie Jerzy U. oraz Józef K. nie otrzymaliby zgody na podwyższenie swoich garaży i wybudowali garaże zgodnie z pierwotnym projektem to byłoby zmuszeni usunąć ziemię ze swoich podwyższonych podjazdów. Wtedy poziom całego szeregu byłby prawie równomierny i problem zalewania garaży by nie istniał. Wydanie decyzji przez panów inspektorów nie były bezinteresowne, ponieważ na każdą zmianę trzeba mieć projekt najlepiej w/w panów. Osobiście zebrałem 5 dzienników budowy i mam dwa projekty wykonane przez pana Bogusława K. W zabudowie szeregu składającego się z 12 garaży p. Bogusław K. wykonał co najmniej 8 projektów.

Wobec ww faktów pytam się pana architekta - czy prawo budowlane jest w Lubaniu stosowane dla wszystkich mieszkańców jednakowo (np. p. Józef K. i Jerzy U. mając zbyt niskie fundamenty dostali w „nagrodę” zgodę na podwyższenie stanów zerowych garaży) czy tylko dla „swoich” wybrańców? Zwracam się także do panów z Urzędu Miasta aby mniej obiecywali, że załatwią tą sprawę a po prostu ją załatwili. Byłem z tą sprawą u obu panów wiceburmistrzów oraz przewodniczącego Rady Miejskiej Jana Smreczyńskiego oraz radnego p. Michała Turkiewiczza. Jak widać bez rezultatów. Panowie - idź wyборы, pewnie będziecie kandydować, więc może warto wykazać się, że jesteście kompetentnymi osobami na zajmowanych stanowiskach?! Może i mój skromny głosik się wam przyda?!

Z poważaniem Leszek F.

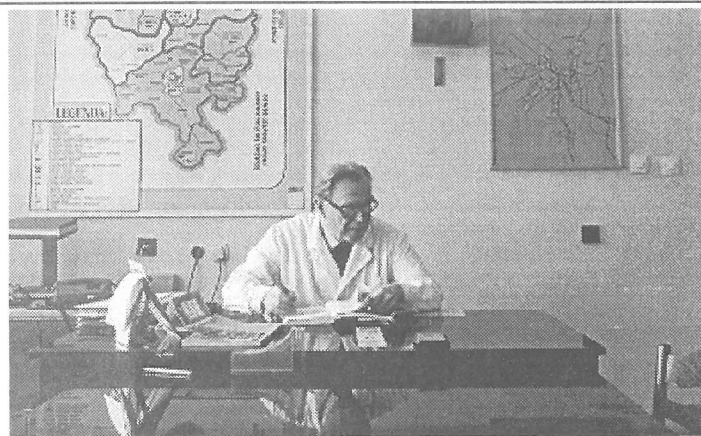
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Rada Miejska Lubania podjęła ostatnio uchwałę o nadaniu szpitalowi w naszym mieście imienia doktora Lucjana Kopcia, zasłużonego lekarza lubańskiego, którego dziesiąta rocznica śmierci minęła w styczniu, a którego zachowało w swoich pamięciach wielu z nas.

Przybliżamy postać doktora Lucjana Kopcia. Jego życiorys, jakże interesujący przedstawia nam Zbigniew Krynicki - „Korab”, wieloletni przyjaciel w dobrych i złych chwilach.

Mamy też coś wyjątkowego - w tym numerze rozpoczynamy druk partyzanckich wspomnień Lucjana Kopcia - „SZPI-TAL LEŚNY 665”, napisanych przez Niego w 1946 roku.

Uroczystości związane z nadaniem szpitalowi imienia doktora Lucjana Kopcia zaplanowano na 8 kwietnia br., kiedy to przypada Światowy Dzień Służby Zdrowia.



Lubań, 1987 - w wybudowanym przez siebie szpitalu

Lucjan Józef Kopeć urodził się 2 lipca 1919 roku w Krakowie. Ojciec jego, Józef Kopeć, był legionista, był oficerem zawodowym Wojska Polskiego. Zginął tragicznie w Anglii w końcu lat czterdziestych. Matka, Wiktoria z domu Sora, była z zawodu nauczycielką. Lucjan miał młodszą o dwa lata siostrę Barbarę, która przed wojną studiowała w Warszawie dziennikarstwo, a w okresie okupacji była czynnym członkiem ruchu oporu w szeregach Armii Krajowej pod pseudonimem „Ksantypa”. Zginęła w bitwie pod Osuchami w Puszczy Solskiej w czerwcu 1944 roku.

Lata dziecięce i szkolne minęły Lucjanowi w różnych miejscowościach Polski, w zależności od służbowych przydziałów i funkcji ojca. Gimnazjum ogólnokształcące ukończył w Przemyślu i tam też w roku 1937 uzyskał świadectwo dojrzałości. Ostatnie lata przed wojną wraz z rodziną mieszkał w Warszawie. W roku 1937 zdał egzamin konkursowy do Szkoły Podchorążych Sanitarnych w C.W.San. w Warszawie, a tym samym

a następnie podjęło pracę w kolumnach dezynfekcyjno-sanitarnych, zwalczając wszawicę - główną przyczynę szalejącą w tym czasie w Warszawie epidemii tyfusu. Wśród nich znalazł się i Lucjan Kopeć.

Wczesną wiosną 1941 roku następuje nieudana próba wyprawy do WP we Francji. Z kilkoma kolegami wyjechał Lucjan na umówiony kontakt do Nowego Targu, lecz tam, po kilku dniach wyczekiwania otrzymał wiadomość, że grupa poprzednio przechodzących przez granicę została w górach rozbita przez straż niemiecką, a przewodnik grupy zabity. Powrócił zatem do Warszawy i pracował dalej w kolumnach dezynfekcyjno-sanitarnych, co umożliwiała mu biologiczną roślinność i działalność w komórkach ZWZ.

Wiosną 1942 roku, zmuszony warunkami, wyjeżdża - znów z najbliższymi przyjaciółmi - na Zamojszczyznę do Biłgoraja, gdzie po kilkumiesięcznej dorywczej pracy, najpierw w młynie w Kuszach, a następnie w

Doktora Kopcia życiorys prawdziwy

Lucjan wybrał drogę najślusniejszą... Był też moim przyjacielem.

został immatrykulowany jako student Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego im. Józefa Piłsudskiego. Do wybuchu wojny ukończył dwa lata studiów.

Kampanię wrześniową rozpoczął przydziałem do mobilizującego się w Sokółce pod Grodnym Szpitala Polowego 302 D.P. w stopniu podchorążego plutonowego. Jednostka ta została w okolicach Równego już 21 września 1939 roku zagarnięta przez wojska sowieckie, a podchorąży Kopeć dostał się do niewoli. W czasie transportu jeńców na wschód, dzięki sprzyjającym okolicznościom i własnej przemysłowości udało mu się zbiec z niewoli, i po ciężkich, ale typowych dla tego okresu przygodach, wrócić do Warszawy. W Warszawie zgłosił się do Szpitala Ujazdowskiego, gdzie w byłym Centrum Wyszczepienia Sanitarnego i w byłej Szkole Podchorążych Sanitarnych został zorganizowany Szpital Wojskowo-Jeniecki dla żołnierzy Wojska Polskiego z polską obsługą i pod polską komendą wojskową pułkownika dr T. Kucharskiego. Większość personelu lekarskiego stanowili lekarze wojskowi, w tym wielu absolwentów i podchorążych SPS-u.

Podchorąży Kopeć otrzymał przydział na Oddział VI B, prowadzony przez płk. prof. Bendkowskiego i był młodszym asystentem kapitana dr Piotrowskiego. Już wczesną jesienią 1939 roku na terenie szpitala powstają pierwsze komórki organizacyjne ruchu oporu, mające na celu samoorganizację, nasłuchu i kolportażu wiadomości radiowych, zbieranie i zabezpieczanie broni, szkolenie wojskowe i zawodowe. W tym też czasie zostaje zaprzysiężony do jednej z „Trójek” SZP (później ZWZ) podchorąży Kopeć i od tej chwili przez cały okres okupacji dzieli swe życie między działalnością konspiracyjną oraz naukę i pracę zawodową. W Szpitalu Ujazdowskim pracuje do 31 marca 1940 roku, kiedy to szpital utracił status szpitala wojskowego i został przejęty przez Polski Czerwony Krzyż, a większość podchorążych została zwolniona. Wielu z nich przeszło na kursy sanitarno-epidemiologiczne prowadzone przez prof. M. Kacprzaka z Zakładzie Higieny,

Derylakach, zostaje przyjęty jako młodszy asystent do szpitala powiatowego w Biłgoraju. Dyrektor szpitala, dr Stanisław Pojasek, doskonały lekarz, chirurg, humanista i gorący patriota, ściśle współpracuje z dynamicznie rozwijającym się w tym czasie na Zamojszczyźnie ruchem oporu, gromadził wokół siebie zgłaszających się młodych medyków, dając im pracę i stwarzając wszelkie możliwości dalszego kształcenia się, tak teoretycznego, jak i przede wszystkim praktycznego przy stole operacyjnym. Toteż zgromadziło się w tym czasie w małym, 100-lózkowym powiatowym szpitalu aż sześciu byłych studentów medycyny, w tym trzech z SPS (Tadeusz Błachuta - „Oldan”, Lucjan Kopeć - „Radwan”, Zbigniew Krynicki - „Korab”). Lucjan od razu zostaje skierowany do Lwowa i w roku akademickim 1942/43 ukończył trzeci rok studiów lekarskich, dojeżdżając z Biłgoraja na wykłady i niezbędne do zaliczenia ćwiczenia.

W tym samym okresie osiągnęła swoje apogeum akcja eksterminacyjna i terrorystyczna okupanta. Ciągłe aresztowania, rozstrzeliwania, wywózki do obozów, wysiedlenia i likwidacja całych wsi pociągały za sobą ofiary idące w tysiące. Odpowiedzią ze strony polskiej był rosnący z dnia na dzień ruch oporu. Liczne oddziały partyzanckie i terenowe komórki AK dawały częstokroć skuteczny zbrojny opór wyniszczającym działaniom okupanta. Akcje sabotażowe, szczególnie na szlakach komunikacyjnych, akcje odwetowe paralizujące zaplecze aprowizacyjne, jak likwidacja urzędów gminnych, rejestrujących obowiązkowe dostawy, napady na tzw. ligenszafty, likwidacja posterunków policji i żandarmerii niemieckiej, wreszcie akcje osłonowe wsi i osiedli zagrożonych przez wroga, i to zarówno niemieckiego jak i ukraińskiego, powodowały stale zwiększającą się ilość ofiar, szczególnie rannych, którym trzeba było nie tylko udzielić pierwszej pomocy, lecz również zabezpieczyć dalsze leczenie. Wymagał to zorganizowania sprawnego zaplecza sanitarnego, dysponującego zarówno przeszkoloną kadrą, jak i zasobami materiałowymi. Komendant Obwodu Bił-

gorajskiego AK powołał podchorążego Kopcia - „Radwana” na stanowisko lekarza Obwodu i powierzył mu powyższe zadania.

Przy ogromnej pomocy dr Pojskiego i współpracy kolegów Radwan organizuje konspiracyjne kursy dla sanitariuszek, gromadzi materiały opatrunkowe i niezbędne narzędzia chirurgiczne, zabezpiecza opiekę i pomoc lekarską i pielęgniarską poszczególnych akcjom partyzanckim.

Przychodzi rok 1944. Coraz trudniej jest umieszczać rannych w walce pod sfalszowanymi rozpoznaniem w inwigilowanych przez okupanta szpitalach cywilnych. Zdarzają się wypadki i aresztowania. Trudno też zabezpieczać im niezbędną opiekę lekarską i zapewnić bezpieczeństwo w wiejskich „melinach”. Powstaje myśl zbudowania szpitala partyzanckiego w rozległej Puszczy Solskiej, gdzie stacjonowały oddziały partyzanckie.

Porucznik Radwan (nominowany na początku 1944 roku) wybiera właściwe miejsce między wsiami Aleksandrów i Trzepietniak w głębokim lesie i organizuje rozbiórke, przewóz i budowę na osłoniętej drzewami polanie „zarekwirowanego” niemieckiego baraku. Tak powstaje Szpital Leśny 665 (kryptonim Obwodu Biłgoraj), mieszczący 14 łóżek i salę operacyjno-opatrunkową. Zaplecze gospodarcze (kuchnia, magazyn i pomieszczenie dla drużyny osłonowej) zostaje dobudowane w ziemiankach i solidnych szałasach. Szpital ten służył rannym, stwarzając warunki spokoju i bezpieczeństwa, do czasu zniszczenia go w czasie tragicznej akcji pacyfikacyjnej „Sturmwind II” w czerwcu tego samego roku.

Oprócz bardzo intensywnej działalności lekarskiej, organizacyjnej i szkoleniowej, oprócz pracy zawodowej w szpitalu, współdziałał Radwan w pracach BiP-u, prowadząc stałe nasłuchy radiowe i współpracując przy redagowaniu, drukowaniu i kolportowaniu miejscowego biuletynu konspiracyjnego pt. „Powstaniec”.

Nadeszła wiosna 1944 roku. Front wschodni wkroczył na ziemie polskie. Niemcy przystąpili do oczyszczania zaplecza frontowego z dezorganizującej i stale wspomagającej akcje dywersyjne działalności partyzanckiej polskiej i radzieckiej. Organizują zakrojoną na szeroką skalę, przy użyciu kilku dywizji wojska, artylerii i lotnictwa akcję pacyfikacyjną, znaną pod kryptonimem „Sturmwind I i II”, w południowej części Lubelszczyzny, gdzie skoncentrowane były największe ugrupowania partyzanckie.

„Sturmwind I” obejmuje swoim zasięgiem lasy jawnowskie. Skąd partyzanci radzieccy, wspierani przez niewielkie oddziały AL, AK, po stoczeniu wielu walk (największa pod Porytowym Wzgórzem) przedzierają się ku wschodowi do Puszczy Solskiej - rejonu zajmowanego przez oddziały AK. W połowie czerwca 1944 roku Niemcy przegrupowują i wzmacniają swoje dywizje i otaczają Puszczę Solską, zamykając tam pierścieniem siły partyzanckie. Zacieśniając pierścień dążą do likwidacji. Oddziały partyzanckie przy ogromnych stratach przebijają się przez pierścień pod wsią Borowce w nocy 23 na 24 czerwca. Oddziały AK uwikłane w walkę z nacierającymi Niemcami nie zdążają do punktu przecięcia i pozostają w okrążeniu. Nie udaje się próba zapadnięcia oddziałów w puszczańskie bagna i dopiero w nocy z 24 na 25 czerwca pod wsią Osuchy, gdzie stacjonował sztab niemiecki, forsując rzeczkę Sopot wpadającą do Tanwi, oddziały partyzanckie przełamują okrążenie. W nierównej walce ginie ponad 300 partyzantów, wśród nich „Ksantypa”, siostra Radwana. On sam jest ciężko ranny w lewe ramię. Zaopatrzony w warunkach polowych, zostaje następnie przerzucony do Krakowa, a stamtąd jeszcze w unieruchomieniu gipsowym, pod Myślenicę, gdzie nadal bierze udział w walkach AK aż do 16 I 1945 r. tj. do wycofania się armii niemieckiej.

W pierwszych dniach lutego 1945 roku wraca na Zamojszczyznę, jeszcze z niezagojoną raną ramienia, lecz szukają go już władze bezpieczeństwa. Mimo to zapisuje się na Wydział Lekarski Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i zalicza IV rok studiów akademickich 1945/46. Aresztowany w lipcu 1945 roku przebywa w więzieniu w Zamościu do lutego 1946, skąd zostaje wprawdzie zwolniony wyrokiem Sądu Wojskowego, lecz w realiach politycznych tamtego okresu jest nadal narażony na ponowne aresztowanie. Toteż, uzyskawszy zaliczenie IV roku studiów, wyjeżdża z

Lublina do Przemyśla, gdzie pracuje w szpitalu, by po kilku miesiącach, wczesną jesienią, przenieść się na Ziemie Odzyskane do Wrocławia.

We Wrocławiu kontynuuje ostatni rok studiów na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego i w 1947 roku uzyskuje absolutorium. Dyplom lekarski otrzymuje dopiero w sierpniu 1950 r., po zdaniu wszystkich obowiązujących egzaminów dyplomowych, już na Wrocławskiej Akademii Medycznej, powstałej z byłego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu. Zwłoka w uzyskaniu dyplomu powstała na skutek panujących w tym czasie ciężkich warunków ogólnych, lecz przede wszystkim w wyniku ogromnego przeciążenia pracą zawodową, wynikającego z katastrofalnego braku lekarzy. Przez wszystkie te lata Lucjan pracuje równocześnie jako młodszy asystent na oddziale wewnętrznym i jako tzw. lekarz miejscowy w Szpitalu 0.0. Bonifratrów, przemianowanym kolejno na Szpital Miejski, a następnie na Szpital Kliniczny nr 5. Ma równocześnie szereg zajęć dodatkowych: jest lekarzem Pogotowia Ratunkowego, wykładowcą w Szkole Pielęgniarek. Ponadto odbywa kilkumiesięczne staże w II i III Klinice Chorób Wewnętrznych.

W lutym 1951 roku z nakazem pracy zostaje skierowany do Lubania Śląskiego, gdzie pozostaje już do końca życia. Do sierpnia 1953 pełni funkcję kierownika Ośrodka Zdrowia i Przychodni Przyzakładowej „Dolwis” w Leśnej, a następnie, od 16 VIII 1953 zostaje ordynatorem oddziału wewnętrznego i dyrektorem Szpitala Powiatowego w Lubaniu. W 1951 roku zawiera związek małżeński z lekarką, Stefanią Podsiadły.

W 1973 roku następuje nowa reorganizacja w służbie zdrowia. Dr Kopec zostaje powołany na stanowisko Dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej w Lubaniu, którą to funkcję pełni aż do emerytury, na którą przechodzi w kwietniu 1987 r. W międzyczasie, uczestnicząc w licznych kursach szkoleniowych i odbywając niezbędne staże, uzyskuje specjalizację z zakresu chorób wewnętrznych - najpierw I, a następnie II stopnia, a w roku 1966 - z zakresu organizacji służby zdrowia.

Poza pracą zawodową i organizacyjną, pasją jego życia w tym okresie stała się budowa nowego szpitala w Lubaniu, uwieczniona po latach wytężonych wysiłków i zabiegów pełnym sukcesem i otwarciem w 1987 roku nowoczesnego, doskonale wyposażonego 348-łóżkowego obiektu.

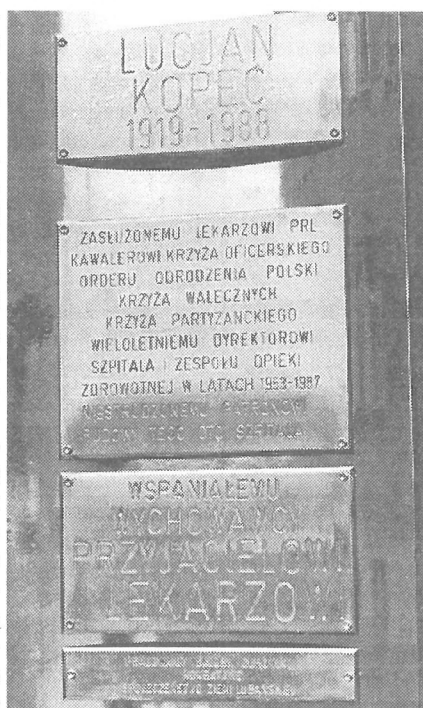
Intensywna działalność zawodowa i organizacyjna w służbie zdrowia nie w całości wypełniła życie dr Kopcia. Zdawał sobie sprawę z tego, że nawet najlepiej funkcjonujące szpitale i przychodnie nie mogą zaspokoić potrzeb zdrowotnych społeczeństwa. Stał się więc zaangażowanym działaczem społecznym, skupiając swe wysiłki na niesieniu pomocy tym, którzy ponieśli największe ofiary i mają obecnie najtrudniejsze warunki bytowania. Spełniał to posłannictwo w ramach organizacyjnych takich stowarzyszeń społecznych, jak lubańskie oddziały PCK, Związek Inwalidów Wojennych i ZBOWID. Był długoletnim prezesem PCK i ZiW-u.

Ponadto przez 30 lat był czynnym członkiem Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej we Wrocławiu, wyróżniając się często w tej trudnej i niewdzięcznej funkcji docieklivością i poczuciem sprawiedliwości, a przy tym równocześnie głębokim humanizmem.

W kwietniu 1987 roku, już po przebytych zawale mięśnia sercowego, dr Kopec przeszedł na emeryturę. Nie danym mu jednak było długo cieszyć się zasłużonym wypoczynkiem po ciężko przepracowanym i pełnym trudów życiu. Zmogła go choroba nowotworowa i zmarł w zbudowanym przez siebie szpitalu 9 stycznia 1988 roku.

Jeśli ogrom pracy i zaangażowania przez całe życie człowieka może znaleźć pewien wyraz w przyznawanych mu odznaczeniach, niech wykaz ten będzie obrazem społecznej oceny dr Lucjana Kopcia: Krzyż Walecznych (1944), Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki, Złoty Krzyż Zasługi (1955), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1968), Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (1986), Złoty Krzyż PCK oraz szereg medali państwowych i odznak regionalnych. W roku 1981 otrzymał tytuł honorowy „Zasłużony Lekarz PRL”.

Najbardziej szczegółowy, najstaranniej opracowany życiorys rejestrują-



Tablica pamiątkowa przy wejściu do lubańskiego szpitala - dzieła życia doktora Lucjana Kopcia

cy fakty, nie jest w stanie oddać rzeczywistej sylwetki i prawdziwej osobowości, która przy czytaniu ulega specyficznej deformacji, i, albo nabiera cech pośmiertelnej posagowości, albo odwrotnie - ulega dziwnemu skarlaniu. A przecież Lucek był żywym człowiekiem, pełnym życiowej ekspansji i szczerego swobodnego humoru, miał swoje pasje, dobre i złe dni i okresy. Był moim przyjacielem od 1937 roku, a nasze „życiorysy” bieły, rzec by można, równolegle. Razem byliśmy w SPS-ie, razem rozpoczęliśmy kampanię wrześniową i później razem w Warszawie, Biłgoraju, pod Osuchami, w Lublinie, Przemyśle i wreszcie we Wrocławiu. A i w dalszych latach, gdy Lucek osiadł w Lubaniu, a ja pozostałem we Wrocławiu, byliśmy w stałym bliskim kontakcie. Jakimże więc był w codziennym życiu? Jakie cechy wyróżniały go wśród innych?

Na pierwsze miejsce wysunąłbym uczciwość, lecz nie tę suchą, dogmatyczną, ale wierną swoim głębokim przekonaniom, przepełnioną humanizmem i znajomością ludzkich słabości.

Dруга jego cecha, to rzucająca się w oczy pracowitość i ogromne poczucie odpowiedzialności za to, co robił, szczególnie w pracy lekarskiej.

Posiadał on wrodzoną umiejętność pozyskiwania ludzkiej sympatii. Rzadkie to zjawisko, ale był powszechnie lubiany, i, choć niewątpliwie jedni lubili go bardziej, inni mniej, ale dobrze znając jego środowisko, nie znałem ani jednego jego wroga. Był przemiłym gawędziarzem, umiejącym swymi często pełnymi humoru opowiadaniem trzymać w napięciu uwagę słuchających, nigdy ich nie znudzając.

Jego zamiłowania pozazawodowe to góry, szczególnie Tatry, oraz wycieczki zagraniczne. Gdy tylko została rozluźniona izolacja Polski, prawie każdy urlop spędzał Lucek z żoną na wycieczkach, z samochodem i namiotem, zwiedzając w ten sposób wszystkie niemal kraje Europy wschodniej i zachodniej. Gdy nie wyjeżdżał za granicę, urlopy spędzał w Tatrach Polskich lub Słowackich, wędrując po górach i kompletując zdjęcia widoków, ciekawych górskich roślin i zwierząt. W domu, o ile czas mu na to pozwalał, uwielbiał pracę w ogródku, ciągle eksperymentując hodowlę nowych jarzyn i kwiatów. Pasjonował się też historią II wojny światowej, gromadząc i czytając literaturę dotyczącą tego okresu.

Życiorys Lucka Kopcia jest biografią typową dla Polaków tego pokolenia, pokolenia „Kolumbów”, któremu wojna poszarpała życie w chwili, gdy stawało się ono samodzielne, gdy kształtowały się ostatecznie i krzepły ich charaktery i osobowości. Są niewątpliwie życiorysy bardziej jeszcze bohaterskie, bardziej tragiczne - uzależnione od miejsc i okoliczności, w które losy rzucały młodych ludzi, ale uzależnione i od ich charakterów i drogi, jaką wybrali. Lucek Kopeć - „Radwan” wybrał drogę walki w ruchu oporu i spełnił swój obowiązek do końca, za cenę inwalidztwa. To mniejsza cena niż śmierć, choćby najbardziej bohaterska.

A potem wyzwolenie i ogromny stres. Ci, którzy najbardziej ofiarne walczyli z okupantem, zapelnili więzienia, stali się ofiarami terroru, wyroków śmierci i zsyłek. Byliśmy daleko od ośrodków „robiących wielką politykę”, dalecy od racji i zmagania ideologicznych. Chcieliśmy jedynie wolnej Polski i wreszcie pokoju. Ale żyć mogliśmy jedynie uciekając, zmieniając miejsce zamieszkania, szukając schronienia i chwilowego spokoju w „melinach”. Gdy tylko przycichły pierwsze namiętności „walki klas” i gnębienia AK - „zapłutego karła reakcji” - trzeba było coś ze sobą zrobić. Jedni uciekli na Zachód, inni - odwrotnie - wstępowali do partii i próbowali bardzo różnych rozwiązań. Wielu się wręcz wykołowało.

Lucjan wybrał drogę chyba najślusniejszą. Powrócił na studia, ukończył je i wierny sobie i swoim najgłębszym zasadom poświęcił się swemu zawodowi i choremu. I wykazał, że bez przynależności do rządzącej partii, bez dwuznacznych kompromisów można dokonać rzeczy wartościowych i uzyskać szacunek, nawet tych „z przeciwnego brzegu”.

Zbigniew Krynicki „Korab”

TAK GO ZAPAMIĘTALI...

Wspomnienia lubaniaków
o doktorze Lucjanie Kopciu
- w następnym numerze

Lucjan Kopeć - „Radwan”

SZPITAL LEŚNY 665 (cz.I)

wspomnienia

W roku 1943 i 1944, kiedy terror niemiecki dochodzi do szczytu, kiedy dymy unoszące się nad fabrykami śmierci w Majdanku, Bełżcu, Oświęcimiu oznajmiają, że giną niewinnie tysiące ludzi, z dnia na dzień wzrasta opór narodu. Stosowane na początku sporadyczne akty sabotażowe i dywersyjne oraz opór bierny zamieniają się z czasem w zorganizowaną, zaciętą zbrojną walkę z okupantem, z każdym dniem przybierającą na sile. Polska ludność wiosek i miast mordowana, wysiedlana, wywożona na roboty do Niemiec, osadzana w obozach koncentracyjnych, niszczone nadmiernymi kontyngentami, broni się, tworząc organizacje terenowe i wstępuje do oddziałów partyzanckich.

W walkę z okupantem Zamojszczyzna wniosła olbrzymi wkład. Ona też jedna z pierwszych w Polsce rozpoczęła czynną, odwetową akcję dywersyjną - Na jej terenie w r. 1944 działał szereg organizacji konspiracyjnych. Najlicniejszą była Armia Krajowa, powstała tutaj ze scalenia PZP z BCh, - obok niej AL. NSZ było bardzo nieliczną grupą. Akcję dywersyjną poza organizacjami terenowymi prowadziły oddziały partyzanckie AK, BCh, AL i sowieckie. Na ogół trudno rozgraniczyć organizację terenową od oddziałów leśnych. Oba rodzaje ściśle ze sobą współpracowały dopełniając się wzajemnie. Często zdarzało się, że żołnierz terenu czasowo znajdował się w oddziale leśnym lub odwrotnie.

Głównym zadaniem oddziałów partyzanckich była dywersja. Organizacja zaś terenowa oprócz zadań bieżących takich, jak sabotaż, dywersja, utrzymanie sieci organizacyjnej i jej stała rozbudowa, wywiad dla użytku własnego i aliantów oraz utrzymanie własnego pionu psychicznego społeczeństwa drogą propagandy - miała w swym założeniu przygotowanie powstania. W tym celu tworzyła jednostki bojowe i pomocnicze, np. WSOP¹, WSK², szkoliła żołnierzy i dowódców opracowując odpowiednie plany. Oddziały leśne pomyślane były głównie dla ludzi „spalonych”, podczas gdy w organizacji terenowej najczęściej pracowali „lojalni” obywatele GG. Niejednokrotnie ci „lojalni” obywatele mieli za sobą więcej „robot politycznych”³, aniżeli niektóre oddziały partyzanckie. Jednym z bardziej aktywnych w Zamojszczyźnie był powiat Biłgoraj.

W r. 1944 pełniłem funkcję naczelnego lekarza Obwodu Biłgoraj⁴. Na jego terenie toczyła się w tym czasie ustawiczna walka podjazdowa Polski Podziemnej, która tutaj zdążyła zlikwidować już niemal wszystkie posterunki żandarmerii (Stützpunkt’y) policji ukraińskiej i granatowej oraz zdeorganizować aparat administracyjno-gospodarczy przez zniszczenie takich placówek jak urzędy gminne, tartaki, mleczarnie itp. Leciały w powietrze mosty, szyny kolejowe, pociągi, samochody wiozące Niemców, ginęli „bez wieści” zniechędzeni szpicle, na błysk łuf partyzanckich otwierały się bramy więzień pełnych „przestępców” politycznych. Duże tablice z napisem „Achtung! Bandengefahr! Nicht einzeln fahren! Schusswaffe bereitzuhalten!” ostrzegały kolumny niemieckie, jeździły tylko po głównych szosach i stałe oboje komendantów rejonów Corda i Wira spełniając rolę ośrodków szkoleniowych. Prócz tego znajdują się tu grupy AL i oddziały sowieckie. Oddziały partyzanckie w znacznej większości rekrutują się z chłopów i okolicznych wiosek i stosunkowo w niewielkiej ilości z elementu napływowego.

Zwalczając Polskę podziemną Niemcy w bestialski sposób stosują odpowiedzialność zbiorową rozstrzelując ludzi całkiem niewinnych. Wiś nienawidzi Niemców i żyje tylko myślą o odwecie. A w lasach biłgorajskich jest wolna ojczyzna żołnierza partyzanta⁵. Działają tu organizacje terenowe oraz biwakują stale lub przejściowo oddziały partyzanckie Groma, Podkowy, Sępy, Norberta, Lancy, Jaskółki, Antona, kompania specjalna Woyny i stałe oboje komendantów rejonów Corda i Wira spełniając rolę ośrodków szkoleniowych. Prócz tego znajdują się tu grupy AL i oddziały sowieckie. Oddziały partyzanckie w znacznej większości rekrutują się z chłopów i okolicznych wiosek i stosunkowo w niewielkiej ilości z elementu napływowego.

Za stałym rozrostem organizacji terenowej i oddziałów partyzanckich oraz z rozszerzeniem ich zadań wzrastają również obowiązki służby zdrowia. Mimo funkcjonowania terenowej sieci sanitarnej z lekarzami rejonowymi, podoficerami sanitarnymi i patrolami sanitarnymi, dotychczasowe metody udzielania pomocy rannym z każdym dniem stawały się coraz mniej

wystarczające. W praktyce pomocy udzielało się najczęściej w polu i za-konspirowanych izbach rannych, ciężej zaś rannych umieszczano w szpi-talu powiatowym w Biłgoraju, gdzie przebywali pod fałszywymi nazwi-skami i fikcyjnymi rozpoznaniem chorób. W pracy tej nieocenione usłu-gi oddawał dyr. szpitala dr Pojasek ratując niejednego „bandytę” od śmie-r-ci, nie skąpiąc swych cennych wskazówek, intensywnie szkoląc w chirur-gii mnie i moich kolegów, i nie krępując nas zajęciami szpitalnymi.

Z biegiem czasu dowieszenie rannego do Biłgoraja i „zamelinowanie” go w szpitalu stawało się coraz trudniejsze. Niemcy zaczęli dokładniej penetrować drogi wiodące do Biłgoraja, rewidować fury i legitymować ludzi oraz obserwować szpital. Z drugiej strony długa podróż z odległego nieraz obozu nie zawsze wychodziła na zdrowie rannemu.

Wówczas to powstała myśl zbudowania w lesie szpitala dającego ran-nemu możliwie najlepsze warunki leczenia i poczucie bezpieczeństwa znacznie większe, aniżeli w Biłgoraju, gdzie nieustannie groziło aresztowa-nie przez Gestapo ze wszystkimi dalszymi konsekwencjami.

W długich dyskusjach z kol. Korabem opracowaliśmy dokładny plan budowy szpitala leśnego. Liczyłem przy tym, że otrzymam aprobatę i po-parcie przełożonych, którzy - jak np. mjr Kalina i kpt. Orsza - już na sobie doświadczili znaczenia służby zdrowia.

W kwietniu 1944 r. otrzymałem wezwa-nie od ppor. Kuli następującej treści: „*Radwan! Mamy kilku rannych. Leż w mp Wira, przyjeżdż natychmiast! Gdyby nie udało się ich stąd zabrać, Wir proponuje urządzenie szpitala u niego*”

To było chyba bezpośrednio powodem powstania szpitala polowego. Dzięki popar-ciu por. Małego, Orsza dał mi zezwolenie na budowę i obiecał przeznaczyć na ten cel sub-sydium. Tego samego dnia z Halnym, który przywiózł mi list od Kuli i zabierał żywność dla Wira, „bandziorską drogą” pojechałem do „bunkru”. Przypuszczając, że może zaist-nieć konieczność przeprowadzenia operacji zabrałem ze sobą narzędzia chirurgiczne. Le-karstwa i materiał opatrunkowy powinny były znajdować się na miejscu.

Oboz Wira, powszechnie zwany „bunkrem” od ziemianki będącej w okre-sie zimowym głównym pomieszczeniem dla żołnierzy, leżał w gęstym za-gajniku doskonale zamaskowany, tak że nawet z bliska trudno go było spo-strzec, a istnienie jego zdradzały jedynie wyjeżdżone drożynki i gwar.

Rannych zastałem w bunkrze. Było ich kilku: z oddziału Groma Kuch-nia - ślepy po postrzale, Rąb, Zapalka i Szerszeń. Od Wira ranny w udo Zięba. Oprócz nich jeszcze żołnierz sowiecki Mikołaj. Opatrunki mieli już założone przez Ninę, która dopiero przed kilkoma dniami przyjechała z Warszawy i pełniła teraz funkcję pielęgniarki w oddziale Wira. Prócz Zięby, któremu musiałem naciąć ropień, rany innych wymagały tylko zmiany opatrunków.

W ciągu kilku następnych dni z pomocą Pilocika⁷ wybrałem odpowiednie miejsce na szpital. Leżało ono w wysokim sosnowym lesie w odle-głości około 2 km. na północ od Trzepietniaka⁸. Ze względu na swoje położenie pośrodku obozowisk oddziałów partyzanckich i dużych bagien od północy miejsce to dawało najlepszą gwarancję bezpieczeństwa. 1,5 km na pld.-wschód znajdował się oddział Wira, około 4 km na pld.-wschód w Helecinie oddział Topoli (Groma), około 2 km na pld.-wschód nad rz. Studeczkiem oddział Woyny, dojścia od Biłgoraja bronił jeszcze dalej bi-wakujący Cord.

Do chwili ukończenia budowy szpitala chorzy pozostają w bunkrze. Ponieważ pracuję jeszcze stale w szpitalu w Biłgoraju, więc w czasie mo-jej nieobecności opiekuje się rannymi Biga, pełniący obowiązki lekarza rejonu Józefów i siostra Nina. Tym sposobem bunkier - duża ziemianka z oknami w dachu - zamieniła się na izbę chorych. Zanim został postawio-ny budynek szpitalny, w bunkrze nie tylko leżeli ranni i ciężko chorzy, lecz także stale udzielano tu pomocy ambulatoryjnej, zarówno partyzan-tom jak zgłaszającej się z okolicznych wiosek ludności cywilnej. Będąc jednocześnie salą chorych, salą operacyjną i gabinetem lekarskim pomie-szczenie to nie odpowiadało nawet najprymitywniejszym wymogom sa-nitarnym. W tej zaimprovizowanej sali operacyjnej wykonywano najroz-

maitsze zabiegi, a więc nacięcia ropni, usuwanie kul i odłamków, szycie ran, zakładanie gipsów itp.

Do ciekawszych należy przypadek ropnia okołonerkowego u majora sowieckiego Feliksa z oddziałów „Szytówców”. Około 10 maja przywiózł go komendant Adam. Chorował już od trzech tygodni. Skarżył się na brak leków i na to, że niedostatecznie wyszkolony personel sanitarny jego od-działu nie umiał rozpoznać choroby i leczył go nieodpowiednio. Lekarz naczelny OP9 dr Skiba, do którego chory dotarł po pewnym czasie, nie mógł dokonać zabiegu chirurgicznego ze względów technicznych. Tak więc został skierowany do nas w stanie bardzo ciężkim z objawami zaka-żenia ogólnego. Postawienie rozpoznania wobec typowych objawów przedmiotowych było bardzo łatwe. Po zbadaniu, natychmiast przystąpi-łem w asyście siostry Niny do zabiegu operacyjnego. Mycie rąk, przygo-towanie pola operacyjnego, narkoza chloretylowa - to dzieło kilku minut. Szeroko otworzyłem dojście do głębokiego ropnia, z którego wypłynęło parę litrów cuchnącej, zielono-brunatnej ropy.

Już po zabiegu w oczach budzącego się Feliksa zauważyłem przerażenie. Okazało się, że w pośpiechu przedoperacyjnym zapomniałem wyjąć zza pasa Visa i granaty, a oszołomiony jeszcze narkozą pacjent patrząc na broń i na

moje zakrwawione ręce - jak mi to sam potem opowiadał - wyobrażał sobie, że leży na stole tortur w Gestapo. Po ope-racji stan chorego szybko się poprawił i po dwóch tygodniach mjr Feliks wrócił całkowicie do zdrowia i dopiero wów-czas zabrał go samolot sowiecki.

Ponieważ lada dzień mieliśmy przy-stąpić do budowy szpitala, zacząłem przygotowywać sprzęt potrzebny do jego urządzenia wewnętrznego. Od mjr Kaliny otrzymałem na ten cel sub-sydium w wysokości 20.000 zł., z rozdzia-łu rzutów dostałem 40 koców, mun-dury dla sanitariuszek i 15 spadachro-nów. Ppor. Cord ofiarował parę tegich koni, popr. Wir mleczną krowę. Taki był związek gospodarstwa szpitalne-go.

Lekarstwa, materiał opatrunkowy i narzędzia były w obwodzie już dawno przygotowane. Bielizny operacyjnej, pościelowej i osobistej miała dostarczyć W.S.K. Agnieszka¹⁰ i Halina z 9 „WSK-aczkami” urządziwszy szwalnię we wsi Trzepietnik zaczęły szyc dla nas bieliznę ze spadochronów. O sprzęt go-spodarski byłem spokojny, kupi się go lub jakoś zdobędzie w Biłgoraju. Z postawieniem budynku szpitalnego byłoby mniej pracy i kosztów, gdybyśmy zabrali Szwabom barak ze stacji Długi Kąt i przewieźli go do lasu.

Dn. 13 maja porozumiewszy się z Wirem i z dowódcą placówki w Maj-danie Nepryskim wybrałem się z Hukiem, Niną, Butrymem i innymi na Długi Kąt. Kilkadziesiąt furmanek potrzebnych na przewiezienie baraku miał dostarczyć Jeż.

Niespodziewana „robota” oddziału Wira, który w tym czasie zatrzymał i wysadził w powietrze pociąg z cukrem koło stacji Krasnobród, prze-szkodził nam w przewiezieniu baraku tego dnia. Jednak nie żalowaliśmy tego, gdyż zamiast baraku przywieźliśmy 6 metrów cukru i byliśmy świad-kami emocjonującego widowiska jak współdziałający z oddziałem Wira partyzanci sowieccy nacierali na Aserbejdżanów¹¹ broniących się w umocnionym tartaku leżącym opodal stacji.

Barak ten w kilka dni później przywiózł przy pomocy aleksandrowia-ków ppor. Huk, który jako saper kierował budową. Postawienie go w wy-branym uprzednio miejscu, zrobienie łóżek, zbudowanie kuchni, magazynu, pomieszczenia dla personelu trwało kilka dni. Przydzielona drużyna kpr. Żbika pracowała z zapalem. Około 20 maja szpital był gotów i mógł przyjąć rannych i chorych.

Duży, stojący wśród drzew barak składał się z trzech izb - jednej prze-znaczonej na salę zabiegową i dwóch dla rannych. Kilka okien z szybami, mimo rzucanych przez drzewa cieni, wpuszczało dostateczną ilość świa-tła. Przed natrętnymi komarami chroniły założone w oknach siatki z gazy. Wewnątrz baraku w jednej z izb dla chorych rosta potężna jodła, która przechodząc przez wycięty w dachu otwór ogromną swą koroną znakomi-cie maskowała go do góry. Sala zabiegowa wyposażona była w stół, stolik



Maj 1944 r. - otwarcie szpitala polowego 665. Lu-cjan Kopeć „Radwan” stoi w środku (w czapce). Poniżej siedzi jego siostra Barbara ps. „Ksantypa”, poległa później w bitwie pod Osuchami.

cd. ze str. 7

SZPITAL LEŚNY 665 (cz.I)

wspomnienia



**Partyzanckie losy
doktora Lucjana Kopcia
opisano w wielu książkach**

na narzędzia, szafkę i kilka „zasobników”¹² wypełnionych lekarstwami, narzędziami i materiałem opatrunkowym i robiła choć surowe, lecz miłe wrażenie. W obu izbach dla chorych stało na razie 14 łóżek zasłanych jednakowymi, granatowymi kocami. Nad łózkami półki na rzeczy pacjentów. Zamiast stolików służyły deseczki między łózkami. Kilka krzeseł uzupełniało umeblowanie.

Z zewnątrz barak był widoczny tylko z bliska. Obrzucony gałęziami jodłowymi zlewał się z otoczeniem przyległych drzew. Inne „budynki”, jak kuchnia, magazyn, pomieszczenie dla personelu i stajnia były wykonane bardziej prowizorycznie i stały w pobliżu baraku. Duży stół otoczony wkopanymi w ziemię ławkami pod naturalnym dachem z koron drzew zastępował stylową jadalnię. Niedaleko kuchni wykopana studnia dostarczała wody. Przepływający w pobliżu potoczek spełniał rolę łazienki i pralni.

Zostałem mianowany komendantem szpitala, Biga moim zastępcą. Dal-szy personel składał się z 17 następujących osób: 3 sanitariuszki - Nina, Danusia i Brzoza. Personel administracyjny - Halina i Stefcia¹³.

Drużyna osłonowa kpr. Żbika¹⁴ - 4-ch st. strzelców Kruk, Czapla, Czajka i Wrzask, oraz 7-iu strzelców Pniacek¹⁵, Bocian, Lis, Szyszka, Witek, Szron i Wolak. Drużyna ta doskonale uzbrojona w 2 LKM-y, 2 RKM-y, karabin przeciwpancerny, schmeisery i steny pełniła służbę wartowniczą i patrolową. Prócz stałego personelu w szpitalu, który był jednocześnie ośrodkiem szkoleniowym dla służby zdrowia, stałe przebywało kilka sanitariuszek na kursie praktycznym.

Ponieważ szpital powstał na terenie obwodu biłgorajskiego i głównie własnym wysiłkiem, stał się też jego jednostką organizacyjną, co zostało zadokumentowane w nazwie „Szpital polowy 665”, gdyż liczba ta była wówczas kryptonimem naszego obwodu. Korzystali natomiast ze szpitala wszyscy, którzy walczyli z Niemcami bez względu na przynależność służbową, organizacyjną czy też polityczną. (cdn)

Lucjan Kopeć - "Radwan"

Przypisy:

¹ Wojskowa Służba Ochrony Powstania.

² Wojskowa Służba Kobiet.

³ Tak w gwarze partyzanckiej nazywano akty dywersyjne.

⁴ Obwód obejmował najczęściej powiat.

⁵ Np. okolice Józefowa nazywano wówczas żartobliwie „Rzeczypospolitą Józefowską”.

⁶ Tak nazywali partyzanci drogę idącą przez lasy od wsi Ćwikły przez Edwardów, Brodziaki i dalej koło Margoli do Trzpietniaka.

⁷ Czesław Bzdziuch, lat około 18 z Trzpietniaka, poległ pod Osuchami 25.VI.1994 r.

⁸ Osada składająca się z kilku gospodarstw, odległa o 1,5 km na północ od dużej wsi Aleksandrowa.

⁹ Nazwa dużego oddziału sowieckiego.

¹⁰ Aniela Nowakówna z Długiego Kątu. Poległa pod Osuchami 25.VI.1994 r.

¹¹ B. obywatele ZSRR zdrajcy, którzy przeszli na służbę w armii niemieckiej.

¹² Zasobnik - duża, szczelnie zamykająca się puszcza blaszana służąca za opakowanie dla broni zrzutowej.

¹³ Poległa po Osuchach.

¹⁴ Władysław Drygas, robotnik tartaczny, poległ pod Osuchami.

¹⁵ Jan Koltun ze wsi Oseredek, poległ pod Osuchami 25.VI.1994 r.

LUBAŃ**Prezent od TPD**

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci w Lubaniu pod kierownictwem pani Małgorzaty Grzesiak od wielu lat prowadzi zbiórkę środków finansowych na zakup sprzętu dla Ośrodka Dzieci Niepełnosprawnych przy ZOZ Luban. Wiele osób zapewne pamięta festyn „Miasto Dzieciom Niepełnosprawnym” czy koncert Majki Jeżowskiej. Dochód z obu imprez zasilił fundusze TPD. Za zebrane pieniądze zakupiono: inhalator z końcówką pulsacyjną, stół do pionizacji, przyrząd rehabilitacyjny typu „Walker”, matę rehabilitacyjną małą i dużą, przesuwankę ścienną, grzybomodul oraz cylinder - wszystko na łączną kwotę 6430,64.

19 marca, w ramach obchodzonego niedawno Światowego Dnia Inwalidów i Osób Niepełnosprawnych, byliśmy świadkami uroczystego przekazania wyżej wymienionego sprzętu dla Ośrodka Dzieci Niepełnosprawnych. Był to kolejny dar płynący z serca od lubańskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. (inf.wł.)

**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Marii Konopnickiej w Lubaniu
ogłasza**

**I Konkurs Literacki
dla Twórców Nieprofesjonalnych**

I. CELE KONKURSU:

- pozyskanie utworów literackich autorstwa mieszkańców Ziemi Lubaniskiej i okolic
- popularyzacja twórczości amatorskiej, nieprofesjonalnej

II. FORMA UTWORÓW:

- a) proza, gatunek literacki dowolny, np.: nowele, opowiadania, list itp.
- b) poezja, gatunek literacki dowolny, np.: ballada, bajka, pieśń, sonet, fraszka itp.

III. Tematyka dowolna, ale preferowane będą utwory związane treściowo z naszym regionem

Uwaga: Proza i poezja będzie oceniana oddzielnie

IV. Praca powinna być oddana na arkuszach A4 (zapisanych jednostronnie, maszynopis)

Objętość utworów:

- prozatorskich od 5 do 8 stron
- poetyckich (pojedyncze utwory lub cykle np. fraszki) - od 2 do 5 stron

V. Do konkursu należy zgłaszać tylko prace dotychczas nie drukowane

VI. Ilość prac zgłoszonych przez jednego autora jest dowolna, każdy utwór będzie oceniany oddzielnie

VII. Pracę należy przedstawić w jednym egzemplarzu.

Wszystkie utwory zostaną przekazane do Działu Informacyjno-Bibliograficznego z Pracownią Regionalną MBP jako dokument życia społecznego, nie będą zwracane autorom.

VIII. Prace konkursowe należy przysyłać pocztą lub doręczyć osobiście do Wypożyczalni Ogólnej MBP (Rynek - Ratusz) **do 30 września 1998 r. z dopiskiem na kopercie „Konkurs Literacki”**.

Koperta powinna być zaopatrzona godłem (pseudonimem). W druzgiej kopercie, zaklejonej, należy podać swoje imię i nazwisko, adres i inne dane personalne autora utworu

IX. Konkurs jest otwarty, mogą w nim uczestniczyć mieszkańcy Lubania i okolic, którzy ukończyli 15 lat.

X. Za najlepsze prace przewidziane są nagrody

XI. Po zapoznaniu się z pracami oceni je sąd konkursowy powołany przez MBP.

Ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi w drugiej dekadzie grudnia br.

MBP w Lubaniu

BIEDRZYCHOWICE

Elżbieta Śnieżkowska-Bielak:

Swój pierwszy wiersz poświęciłam Wielkanocy...

- Od kiedy zaczęła się Pani przygoda z poezją?

- Piszę prawie od zawsze. Od wczesnego dzieciństwa czyli od dziewiątego roku życia z mniejszym lub większym skutkiem. Wszędzie gdzie się pojawiam staram się tworzyć gremia, grupy literackie, coś co powoduje, że spotykają się ludzie o tych samych zainteresowaniach, poglądach. Jestem jeszcze, choć mam zamiar, zrzeszona w żadnym związku twórczym.

Piszę natomiast od wielu lat. Głównie uprawiam poezję liryczną, jak niektórzy złośliwie mówią kobiecą poezję, jak byłaby gorsza. Param się też pisanie dla dzieci. Moje wiersze są na przykład w podręczniku dla I klasy szkoły podstawowej w gazetkach dydaktycznych. Wydawałam swoje utwory w Katowicach, mieszkalam tam jakiś czas. Gazetki służyły integralnemu nauczaniu. Pisałam wierszyki matematyczne, ortograficzne, bajki, scenki teatralne, także wierszyki dla dzieci o tym, co je interesuje. Zaczęłam pisać dla moich własnych dzieci, kiedy były małe, a w księgarniach brakowało książeczek. Aby nie czytać im w kółko Brzechwę, Tuwima czy też Szelburg-Zarębinę zaczęłam wymyślać im swoje wierszyki. Początkowo improwizowałam przy łóżku dziecka, potem zapisywałam je. Tak powstało szereg wierszyków dla dzieci. Swego czasu miałam zamówienie od jednej z gazet katowickich na satyrę polityczną. Gazeta prowadziła przez jakiś czas kącik satyry. Pisałam dla nich satyry. Głównie zajmuję się jednak poezją liryczną. Interesuje mnie też pisanie dla dzieci. Chciałabym kiedyś zebrać wszystkie wiersze dla dzieci i wydać książeczkę poświęconą miłusińskim.

- Pamięta Pani swój pierwszy wiersz?

- Tak, pamiętam. Zamieniłam go na piosenkę, dla dzieci, ponieważ wydałam śpiewnik piosenek. Pierwszy wiersz był poświęcony Wielkanocy. Miałam wielkie poczucie bezpieczeństwa, były święta, rodzice, pisanki, baby, mazurki, wszystkie te akcesoria, które tworzą klimat rodzinnych świąt. To był pierwszy spontaniczny wierszyk, który chwalił Wielkanoc, ukazywał radość i poczucie bezpieczeństwa płynące z rodzinnej atmosfery.

- Jak powstają Pani wiersze? Czy to jest chwilowe natchnienie? Czy chodzi Pani z wierszem myśli o nim i dopiero później tworzy?

- Chodzę z wierszem. Czasami zdarzyły się takie chwile, że siadłam i napisałam, coś mnie do tego zmobilizowało. Miałam kilka takich przypadków, że od ręki napisałam wiersz nie zmieniając go. W najnowszym moim tomiku „Aluzje do serca” jest wiersz „Bal zapomnienia”. Jest to satyra społeczna, która powstała po autentycznym pobycie na balu, który mnie zbulwersował. Przyszłam z balu usiadłam i napisałam wiersz, bez poprawek. Zazwyczaj jednak pracuję w słowie drążę piórem każdą myśl swoją. Napisałam nawet w jednym ze swoich wierszy, że „...drążę piórem każdą myśl...”. To jest obróbka słowa, taka wręcz rzemieślnicza, żeby jak największą treść przekazać w jak najmniej formie. Moje wiersze są miniaturami. Kiedyś interesowałam się poezją lingwistyczną, coś z tego zostało. Staram się w miniaturze, jeżeli chodzi o formę, objętość wiersza, przekazać treść głęboką, dość obszerną.

- Czy jest wiersz, który jest Pani szczególnie bliski?

- Nie ma takiego wiersza. Wszystkie są mi bliskie, bo płyną z serca. Moją twórczość traktuję profesjonalnie. Mam doświadczenie w pracy poetyckiej. Jestem polonistą, trochę się na tym znam teoretycznie, przez tyle lat prób literackich stworzyłam sobie jakiś warsztat pracy. Oczywiście mam przerwy w pisaniu. Czasami są one dłuższe rok, dwa lata, kilka miesięcy, ale wracam. Moje wiersze powstają na gorąco w momentach przeżyć życiowych moich osobistych, przeżyć moich bliskich, czy przeżyć zaobserwowanych. Powstają w chwili kiedy mnie coś bardzo zbulwersuje, wzruszy, ucieszy, zasmuci, a takich sytuacji w życiu jest bardzo wiele, one mobilizują do pisania. Są też sytuacje, które albo bardzo cieszą, wzruszają, albo bardzo boją, które muszą się odeleżeć. Sytuacja czasami mnie przerasta i dopiero po kilku miesiącach czy latach mogę napisać na ten temat jakiś wiersz, ubrać to w słowa, mogę się zdystansować do sytuacji, którą opisuję.

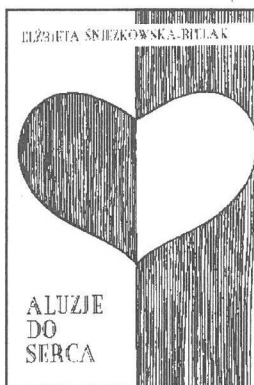
Fakt, że nie zaprzestałam pisania było podyktowane wychowaniem intelektualnym. Mój ojciec to intelektualista, to człowiek, który rozczytywał się w literaturze polskiej, w klasyce, poezji. Zaraził mnie tym. Wychowywał mnie na intelektualistkę. Matka też, choć w mniejszym stopniu, interesowała się literaturą. Od dziecka kupowała mi wiele książek. Wtedy nie było telewizji, spędzałam czas przy książce - lubiłam to. Jestem jedynaczką, dużo czasu spędzałam sama między dorosłymi, musiałam swoje dziecinne myśli gdzieś skumulować i wylać na papier, dorośli nie zawsze mieli czas słuchać dziecka, kiedy chciało z nimi rozmawiać. I tak się zaczęło pisanie pierwszych wierszy. Pamiętam, że w IV klasie szkoły podstawowej napisałam drugi wiersz dwuwrotkowy. Przyniosłam go na lekcję, bardzo z niego dumna - to był wiersz o jesieni. Pani nauczycielka przeczytała go i powiedziała „tego sama nie pisałaś ktoś ci pomagał...” i postawiła mi czwórkę zamiast piątki. To było dla mnie wielkim dramatem, bo naprawdę sama napisałam ten wiersz.

- Na zakończenie proszę powiedzieć, jak bliscy odbierali i odbierają Pani poezję?

- Ojciec był zawsze jej fascynatem. Matka mówiła „nie tylko te wierszydła pisze, na nic to się w życiu nie przyda”. Córka również pisze wiersze. W ubiegłym roku Nowiny Jeleniogórskie zamieściły artykuł o mnie i córce. Natomiast syn nie odziedziczył po mnie talentu poetyckiego. Jest ponoć dumny z różnego rodzaju notatek prasowych czy audycji radiowych, które się ukazują, ale twierdzi, że się już do tego przyzwyczaił i takiego dużego wrażenia to na nim nie robi.

- Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów.

Wysłuchała Izabella Ślęk



Ucieczka

Moje ciało zasypia
zostaje na twardym tapczanie
a ja
biegnę do ciebie po zielonej trawie
snu
Popatrz
ile mam śpiewu ptaków
nazbierałam go po drodze
bo nic innego
nie mogę ci dać
spieszę się
gdyż rankiem muszę podreptać
do sklepiku na rogu
do cerowania pończoch
do płaczu dzieci
Więc weź
mój jedyny dar
i czekaj
na tej zielonej łące
aż znowu zostawię ciało
na tapczanie twardym od trosk

Czarne ptaki

W moim
pozaświecie
w moim
pozajutrze
mieszkają czarne ptaki
staram się
spotykać z nimi
rzadko i niechętnie
ale
gdy znajdę się w pokoju
bez drzwi i okien
oglądam swoją twarz
odbłą
w ciemnych lustrach ich oczu
czarne ptaki
odlatują o świcie
obsiadają drzewo przy moim domu
czekają...
Styczeń 1983

Zwolnienie lekarskie

Jesteś
zwierzęciem w ciasnej klatce
suką, której zraniono szczenię
przepiórką, nad której gniazdem
zawisa cień
kocicą noszącą małe w pysku
gdy czuwasz
mierząc gorączkę, parząc zioła
wsluchując się w oddech
z kamieniem na piersi
czekasz
na werdykt lekarza
i twojego szefa,
któremu jutro znowu
położysz na biurku
dowód swojej winy -
- zwolnienie lekarskie na chore
dziecko
czerwiec 1986

LUBAŃ - PIEŃSK

...Wróćmy do przerwanej opowieści.

Nigdy się ona nie skończy, bo dokończenie ciągle pisze życie. Tamte sprawy są aktualne nadal...

Henryk Piecuch, z książeczki szkoleniowej dla żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego „Starszy szeregowy Tadeusz Wróbel”)

Skryty, małomówny. Porozmawiać koniecznie!

Jeśli wierzyć przekazom, te słowa miał napisać w swoim notatniku służbowym niejaki sierżant Zawada. Było to na początku 1950 roku, a sierżant był dowódcą strażnicy w Pieńsku nad Nysą Łużycką. Zaś ten, z którym do zaplanowanej rozmowy nigdy nie doszło był żołnierzem, szeregowcem. Służył tu, na tej strażnicy. I nazywał się Tadeusz Wróbel.

Postanowiłem, że będzie to historia prawdziwa. Dziś, po 48 latach od tamtych wydarzeń na granicy nie ma powodu, by ją przeinaczać. By doraźnie - jak dawniej - nie do końca prawdziwą historię do prawdziwego życiorysu żołnierza. By po śmierci tworzyć z niego podręcznikowego bohatera dla młodego rocznika. Z pewnością on sam na taki los nie zasłużył. Choć na naszą pamięć powinien.

Na pieńskiej strażnicy zaprzyjaźniło się dwóch kolegów z rocznika 1927. Tadeusz Wróbel z wielkopolskiej wsi i Zygmunt Sokół z Łukowa w lubelskim. W 1948 roku rozpoczęli służbę wojskową, w szeregach bydgoskiego KBW. Potem rzucono ich do Lubania, do Łużyckiej Brygady WOP. Jak się wówczas mówiło - by wzmacniać granicę państwową. Spali na tej samej, piętrowej pryczy. Tadeusz był mniejszy, więc załapał się na parter. Mieli wspólną „dyżurną” maszynkę do golenia i kilka miesięcy do cywila. Jak to kawalerka, każdy z nich miał niedaleko pieńskiej strażnicy swoją dziewczynę. Zygmunt - Janinę a Tadeusz - Bronkę. I obaj wiązali z każdą z nich poważne plany życiowe. Zygmunt słowa dotrzymał, Tadeusz nie zdążył.

Ostatni raz rozmawiali ze sobą wieczorem 10 maja 1950 roku. Obaj mieli służbę. Zygmunt na bramie strażnicy, Tadeusz w patrolu. Na prawym odcinku granicy, od strażnicy w dół Nysy, do styku z odcinkiem chronionym przez strażnicę w Bielawie. Szeregowy Wróbel poszedł w parze z szeregowym Stefanem Pogorzelskim. Taka dwójka w patrolu to u pograniczników „element”.

- Uważaj na siebie! - ostrzegł Tadka na bramie Zygmunt, starszego w tym „elementie”.

- Nie miałem zaufania do tego Pogorzelskiego - wspomina dziś Zygmunt Sokół, którego odnajdujemy w Pieńsku. Został tu na stałe. Jedyny z tamtego rocznika.

- Pogorzelski do naszej strażnicy przyszedł zaledwie dwa dni wcześniej, świeży. Gdzieś z górali był. Tam chyba też służył. Zdziwiłem się, bo tam całkiem inna granica, a u nas płasko, rzeka. I od razu dali go na nocny patrol. Właśnie razem z Wróblem. Po odprawie przy stole, gdzie była mapa plastyczna ochraniającej granicy, Pogorzelski zapytał mnie nawet - i to wcale nie żartobliwie - czy dają na patrol granaty?! Dopominał się o nie, bo tam gdzie wcześniej służył ponoć dawali je na drogę.

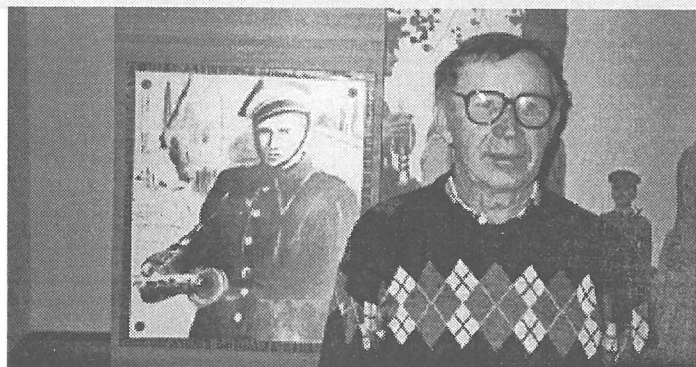
*Bzy majowe pachniały w ogrodach
Blady księżyc przeświecał przez chmury.
Zbiegli szybko we dwójkę po schodach
Pogorzelski i Wróbel. A z góry
Biegły za nimi w tę noc ku granicy
Czuje oczy dowódcy strażnicy...*

Sokół skończył służbę o dwudziestym wieczorem. Przebiegał się, gdy nad granicę dobiegły strzały. Potem zobaczył rakietę, jak oświeśla teren nad Nysą, całkiem blisko strażnicy. Równy kilometr. Podniósł się alarm.

- Rzuciliśmy się w tamtym kierunku - mówi Sokół. Jak kto stał. O mało się wówczas nie zabiłem! Po drodze trzeba było przeskoczyć rów. Za rowem był słup. Wyrzuciłem w niego, ale po chwili biegłem dalej. Dobiegliśmy do zakola Nysy. Tam leżał Tadeusz. Był przytomny, nawet objaśniał, co się stało.

*I zerwali się tchórze spłoszeni
I godzili weń kulę zdradziecką
A gdy upadł bohater na ziemię -
Ratowali się zbóje ucieczką.
Lecz robotnik bez walki nie ginie...*

Przez granicę od strony Pieńska usiłowała przedostać się grupa ludzi.



Zygmunt Sokół (z prawej) słowa dotrzymał, Tadeusz Wróbel nie zdążył...

Było ich bodaj czterech, może więcej. Wtedy mówiono, że przemysłników. Tadeusza przenieśliśmy na strażnicę. Tu mieliśmy konia, zaprzęgliśmy go do wozu. Konie powoził żołnierz, niejaki Bajor. Pojechali do Zgorzelca. Potem mówili, że stamtąd przewieziono go do Lubania.

Był po kolacji, co miało utrudnić operację. Trudno ustalić, gdzie i kiedy Wróbel zmarł. Według relacji Sokoła, na strażnicy jeszcze żył.

Coś w tym jest, bo w przekazach podaje się datę śmierci - 11 maja 1950 roku, a więc następnego dnia po objęciu tej ostatniej służby. A może minęło zaledwie kilka godzin, bo zdarzenie miało miejsce wieczorem?

Przez granicę przechodzili różni. Przemysłnicy, szabrownicy, także szpiedzi. Nie od dziś wiadomo, że pewne odcinki kontrolowały nasze służby specjalne mające tam wybrane kanały przerzutowe. Gdy uruchomiono taki kanał, ostrzegano WOP-istów, by w określonym miejscu i czasie obowiązywała cisza patrolowa.

- Tak było na Koźlicach - wspomina płk Jerzy Brożyna, dziś emerytowany oficer WOP, wcześniej zastępca dowódcy zgorzeleckiego batalionu. Przyjeżdżali oficerowie z informacji wojskowej, sprawdzali książkę patrolową, przypominali, kiedy i gdzie nie należy chodzić. My oficerowie wiedzieliśmy, że przez granicę „idzie coś” kontrolowanego. Potem wszystko wracało do normy.

- Niewykluczone - mówi płk Henryk Piecuch, autor wielu książek o służbach specjalnych i książeczki-broszury o Tadeuszu Wróblu a także przez wiele lat oficer Łużyckiej Brygady WOP, że dwójka Wróbel-Pogorzelski poszła na odcinek, na którym nie powinna była się znaleźć. Może tym razem ktoś w porę nie ostrzegł, nie zdążył albo nie chciał...

Zygmunt Sokół, najbliższy kolega Tadeusza Wróbla zapamiętał, że grupą przekraczającą granicę na Nysie kierował jakiś milicjant z Katowic. On jeden miał przy sobie broń, pistolet. I tylko on tej broni użył. Skutecznie. Pieńsk wrzał po tamtych wydarzeniach, głośno mówiono o tym w całym kraju, we wszystkich jednostkach wojskowych. Sokół pamięta, że odtworzono w miasteczku zdarzenia poprzedzające strzelaninę nad rzeką. Ten katowicki milicjant ponoć miał w knajpie dobierać sobie współników. Jednym był miejscowy poborca wody, Sokół go nawet znał. To ten inkasent wówczas zginął. Żołnierze wyłowili go potem z Nysy. Pochowano go na pieńskim cmentarzu. Drugiego - chyba tego milicjanta - złapała już po drugiej stronie rzeki straż niemiecka. Był ranny. Pozostali rozpiechali się i wszelki ślad po nich zaginął. Sokół i koledzy długo szukali w wodach Nysy pistoletu, z którego strzelano. Bezskutecznie.

Co robił nad Nysą Łużycką katowicki milicjant z pistoletem? Tego żołnierza, koledzy Wróbla, nigdy nie dociekali. Nie mieli z resztą sposobności. Na strażnicę przyszedł młody rocznik, z którym oni początkowo wspólnie chodzili w patrolach, po czterech. Po kilku dniach Sokoła i starszych służbą kolegów przeniesiono z Pieńska do Lubania. On sam szył buty w brygadzie. Zaś na granicy został młody rocznik. Został też Stefan Pogorzelski.

Dziwnie jest i to, że żaden z kolegów Wróbla nie pojechał na jego pogrzeb. Nikt o to nie zadbał a może nie chciał. Z tym miejscem pochówku to też niejasna historia. Sokół jest przekonany, że Wróbel leży na lubańskim cmen-



Lubański cmentarz na Kamiennej Górze. Czy rzeczywiście spoczywa tu Tadeusz Wróbel? - nie wszyscy są o tym przekonani.

tarzu na Kamiennej Górze, wśród radzieckich czerwonoarmistów. Informację tę potwierdza mi w Lubaniu emerytowany płk WOP Tomasz Piwko, wówczas młody dowódca strażnicy w sąsiadującej z Pięńskim Bielawie.

Zupełnie inny pogląd ma major Leszek Duczyński, rzecznik prasowy Łużyckiego Oddziału Straży Granicznej. Twierdzi wręcz, że Wróbla pochowano w jego rodzinnej wsi.

Szybko przeprowadzam reporterskie dochodzenie. Towarzyszy mi Krzysztof Zachar, lubański harcmistrz, którego drużyna nosi od 15 lat imię Tadeusza Wróbla. Drużyn jego imienia jest w kraju kilka - w Lubaniu, Słubicach, Maczkowie. Harcerska Służba Graniczna obchodzi w tym roku 30-lecie swojego istnienia, więc trudno się dziwić, że druhowie chcą znać całą prawdę o swoim patronie, jego życiu i śmierci.

Na cmentarzu z łatwością odnajdujemy mogiłę nr 69. Na niej, na białej tablicy wyryto dwa nazwiska: *Pieja Edward poległ 9.V.1950, Wróbel 11.V.1950*. A więc jest! Sprawdzamy w rejestrze mogił lubańskiego Urzędu Miasta. Tu informacja jest pełniejsza, choć z jednym, ale za to istotnym błędem. Ten błąd to rok śmierci. Pod pozycją 105 zapisano: *Wróbel Tadeusz urodzony 1927, zgon 11.V.45, nr mogiły 69, Polak*.

Trudno się do końca dziwić jakiemuś urzędnikowi, który - chyba z przyzwyczajenia - wszystkim z tej strony rejestru wpisał w dacie zgonu rok 45. Jak leci, bo wtedy kończyła się wojna. Tyle, że w przypadku Wróbla jego i tak krótkie życie było przecież o całe pięć lat dłuższe...

Ostry ból we wnętrzościach wierci

A on strzela! Pepesza charczy,

Jeszcze, jeszcze...Nuboi...starczy,

Ale...życie...ucieka...

Na pięńskiej strażnicy zachowała się izba pamięci. Nosi imię Wróbla. Ponoć niedawno były zakusy, aby ją zlikwidować, ale dano spokój. Wewnątrz wiele zdjęć, bohaterowie granic, relacje z o tamtym wydarzeniu. Oczywiście jest duże zdjęcie patrona strażnicy, Krzyż Walecznych nadany mu pośmiertnie przez Bieruta i Radkiewicza 22 lipca 1950 roku, zdjęcia z rocznicowych uroczystości pod pomnikiem nad Nysą. Także z udziałem matki i sióstr. Jest kilka tomów ksiąg pamiątkowych i wiersz - elegia o życiu i śmierci młodego szeregowca. Jego broń przekazywana była zawsze najlepszemu żołnierzowi na strażnicy - z bronią strzelca Wróbla *Tadeusza przodować w ochronie granicy Polski Ludowej* - głosi napis na kolbie karabinu. Później broń trafiła do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Dowódca strażnicy, mjr Bernard Sak, proponuje nam krótką przejażdżkę nad Nysę. Gazik z dużą wprawą prowadzi starszy sierżant sztabowy Tomasz Mach, bo

Mjr Bernard Sak (z prawej), Krzysztof Zachar z lubańskiego ZHP i sierżant Tomasz Mach przy pomniku Tadeusza Wróbla



droga między łąkami jest mocno wyboista. Szybko dojeżdżamy. Wokół pomnika wypalone trawy. Ktoś już tu zrobił wiosenne „porządki”. Zachował się słup numer 160 i drzewa posadzone przy pomniku przed blisko pół wiekiem, dziś już całkiem sporych rozmiarów. W bezpośrednim sąsiedztwie pracuje oczyszczalnia ścieków, inwestycyjna chluba samorządowych władz Pięńska ostatnich lat. Poniżej skarpy Nysa płynie szerokim zakolem. Po przeciwległej stronie cypel z dużą kępą starych drzew i krzewów. Wtedy było ich jeszcze więcej. Rzeczywiście, idealnie wybrane miejsce do skoku na tamten brzeg. Ktoś musiał być dobrze zorientowany w topografii.

Wracamy do miasteczka. Mamy „namiar”, że znajdziemy tu córkę...Tadeusza Wróbla! Więc szukamy. Trafiamy pod właściwy adres. Mężczyzna prowadzący sklepik z papierosami i chemią wyjaśnia, że żona po czternastej wraca z pracy, bo w dawnym „Polamie” a teraz Hucie Szkła „Ewa” kończy się zmiana.



Pani Krystyna jest uderzająco podobna do ojca...

Wreszcie zjawia się pani Krystyna. Jest uderzająco podobna do ojca, którego zdjęcie mamy jeszcze w oczach po wizycie na strażnicy. Po ojcu ma też niski wzrost i charakter. Jest skryta i małowówna. Bez przerwy wchodziłkienci, bo sklepik ma wzięcie, więc długo trwa, nim poznajemy całą historię.

- Urodziłam się już po śmierci ojca, w listopadzie 46 roku. W dowodzie mam wpisane imiona rodziców: Tadeusz i Bronisława. Mama była kilka miesięcy w ciąży, jak zginął - mówi. Ona jedna wiedziała najlepiej, ile przeżyła. Nie miała żadnych praw, żadnej pomocy, bo nie była żoną.

Poszła w zapomnienie, gdy bohaterowi znad Nysy szybko po śmierci zaczęto dorabiać zyciorys. Skoro w lipcowe święto Bierut miał pośmiertnie przyznać Wróblowi Krzyż Poległych, zrobiono z niego aktywistę Związku Młodzieży Wojskowej na pięńskiej placówce.

- Panie, to lipa z tym ZMW! - krzywi się Sokół. Tak się wtedy robiło, że hurtem byliśmy zapisani w kole młodzieżowym.

Potem, gdy pod pomnikiem zjawiała się matka Wróbla, ponoć nie chciała widzieć wnuczki. Mówiono, że miała słabe zdrowie.

Pani Krystyna słyszała później od ludzi, że komuś zależało na tym, aby ojca nie uratować, bo ten przemysł nie był takim zwykłym przemysłem. Komu - nie wie, ale tak mówili. Ją los też nie oszczędzał. Wychowywała się w biedzie i bez ojca, którego nie знаła. Potem wyszła za męża. Gdy w stanie wojennym miała urodzić drugie dziecko, córkę, mąż został znaleziony pod własnym domem. Do dziś nie wie, jak zginął. Ale wie, że to fatum jej ojca.

Ewelina chodzi teraz do siódmej klasy. O Tadeuszu Wróblu mówi - dziadek. Mama zresztą nigdy nie ukrywała przed trójką dzieci, kim jest dla niej i dzieci bohater znad Nysy. Gdy w szkole mówiono o Wróblu, Ewelina raz jeden przyznała się, co ją z nim łączy. Dzieci nie wierzyły, że to był jej dziadek.

- Jest za bardzo znany, każdy chciałby mieć takiego dziadka, któremu stawiają pomnik - dzieci potrafią być okrutne.

Nie dali wiary także nauczyciele, uznając, że dziecko ma rozbudzoną fantazję. Więc później do tego nie wracała. W Zaduszki - jak co roku - poszła nad Nysę. Jak zawsze położyć kwiaty pod pomnikiem. Przykro jej się zrobiło, gdy zobaczyła, że nikt tu nie pamięta o dziadku. Nie było ani zniczy ani kwiatów.

- Żadnego, nawet marnego kwiatka - mówi z trudem i widzę, jak dwie duże łzy spływają jej po policzkach.

Janusz Skowroński

W tekście wykorzystano fragmenty *Elegii na śmierć szeregowego Wróbla*, napisanej przez żołnierza-poetę Tadeusza Latuszka.

STANISŁAW SIOREK



Choć mieszkał we Wrocławiu, był zycziwym przyjacielem naszej redakcji. Kilka lat temu spotkał się po raz pierwszy w...sądzie wrocławskim. Miejsu osobliwym, w którym znalazłem się służbowo zaś Pan Stanisław współpracował z Komisją Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu, której wrocławski oddział miał tu siedzibę. Chyba coś spodobało się Jemu w naszym piśmie, bo zaczęliśmy regularną korespondencję. Później Pan Stanisław udzielił nam wywiadu (PL nr 12/95). „Kontrwywiad mówi - odsłaniamy tajemnice” okazał się tak interesujący, że doprowadziliśmy do spotkania z Nim. Na Zamek Czocha 29 marca 1996 roku przybyło wielu Czytelników. Wówczas wielu z nas zrozumiało, jak mało wiemy o swoich terenach i jak dużo wiedzieć chcemy. Pan Stanisław okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy. I chętnie się z nią dzielił. Przyjeżdżał jeszcze kilkakrotnie. Był na I Dniach Zamku Czocha w ubiegłym roku. Zjawił się u nas i później. Niespodziewanie namówił mnie i jednego z Czytelników na wyprawę do Mściszowa. Bo tam też mogło być „to coś”. Pojechaliśmy. Dziś wiem, że sprawa jest nadal otwarta.

Chętnie pomagał w pracy twórczej wielu piszącym o tajemnicach II wojny światowej. Śledził aktywnie moje zmagania w próbie rozwikłania tajemnic Zamku Czocha. Zaskoczył mnie, gdy przekazał mi swoje zapiski z własnych poszukiwań miejsc, gdzie mogły trafić zamkowe skarby. To On pierwszy dotarł do udokumentowanych informacji, że po wojnie meble z zamku pojechały do Kancelarii Bieruta w Warszawie i do Biura Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu. To On wskazał mi dalsze kierunki poszukiwań i jestem Mu za to wdzięczny.

I jeszcze jedno. Gdy w parku przy Esperantystów odsłoniła się tajemnicza studnia, Pan Stanisław (bez zaglądania do niej!) opisał nam, jak jest zamaskowana i do czego służyła. Wszystko się zgadzało! Chciał ją koniecznie spenetrować, bo autorytatywnie wykazywał, że nie jest to zwykła studnia. Jak mało kto - wiedzę w tym zakresie miał ogromną. Wspólnie z Bogusławem Wróblem założył i redagował „Exploratora” - pismo dla ludzi, którzy interesują się zagadkami przeszłości. Tuż przed śmiercią zdążył zobaczyć swój kolejny numer, w którym napisał między innymi to, co wiedział o zagadkach III Rzeszy na ziemi lubańskiej. Obok przypominamy ten znakomity tekst. Odszedł nagle, 6.03.98 mając 67 lat. Pozostanie w naszej pamięci.

Janusz Skowroński

LUBAŃ - LEŚNA I OKOLICE „Przegląd” na tropach sensacji II wojny światowej

Dlaczego powstały podziemne fabryki, dlaczego było ich względnie dużo i dlaczego prawie nic o nich nie wiemy? Czy ziemia lubańska kryje podziemne fabryki i gdzie one są zlokalizowane?

LUBAŃ, LEŚNA i okolice PODZIEMNE ZAGADKI III RZESZY

W Lubaniu urodził się Karl Hanke, ostatni niemiecki gauleiter prowincji śląskiej, który między innymi doprowadził do zniszczenia Wrocławia - a także - ukrywał niemieckie i zagrabione dobra.

Z tym, że same legendy o bajecznych skrabach powstały w naszej powojennej mitologii. Przyczynili się do tego... dziennikarze. Pod koniec wojny ludność niemiecka była poddana ogromnej obróbce propagandowej ostrzegającej przed nadchodzącymi „hordami Azjatów” z Armii Czerwonej, zbliżającymi się do stolicy III Rzeszy. Chodziło oczywiście o zwiększenie oporu ludności pod nacierającą Armię Czerwoną. Chodziło też o uzasadnienie realizowanej polityki „spalonej ziemi”, godzącej głównie w ludność cywilną, która nie mogła być ewakuowana często z przyczyn czysto technicznych. Polityka ta zakładała zniszczenie wszelkich zapasów przemysłowych, produkcyjnych i aprowizacyjnych. Nieco później, po korektach, zalecano totalne ukrywanie tych dóbr. Ukrywano wszystko, co tylko dało się schować i zakopać. Stąd właśnie wywodzi się mit o bajecznych skrabach, o ogromnym złocie, w tym o tzw. „Złocie Wrocławia”. W rzeczywistości zaś możemy mówić nie tylko o złocie Wrocławia, ale też równocześnie o złocie czy skarbie np. Zamku Czocha, skarbie Leśnej, Baworowa czy Lubania! Każda bowiem miejscowość kryła jakiś „skarb”. Dlaczego więc Wrocław miałby być szczególnie wyróżniony?

Cywilna ludność niemiecka ukrywała swoje dobra w ziemi, w swoich obejściach, na polach, ewakuowani zaś w miejscach publicznych, w lasach czy parkach. Te schowki później otwierali sami Niemcy, bo ukryte dobra musiały być wykorzystywane jako towar wymienny, na zakup żywności i niezbędnych artykułów. Znałe są liczne przypadki, że pozostawieni opiekunowie zamku, np. „klucznice”, same wydobywały ukryte zastawy stołowe, zamieniając je na chleb czy mąkę, lub słoninę. Zaraz po wojnie głód był powszechny. Pozostałe nieliczne schowki zostały spenetrowane przez polskich osadników, zaś reszta jest odkrywana teraz, gdy setki wykrywacze metali znalazło się w rękach różnych ludzi. Obserwujemy też zawiązywanie swoistych „spółek poszukiwawczych” z udziałem kapitału niemieckiego. Niemcy bowiem wiedzą, gdzie są zlokalizowane te większe, poważniejsze schowki, organizowane między innymi w lasach, i wspólnie z polskimi poszukiwaczami lokalizują je przy pomocy planów i szkiców oraz aparatury wykrywającej, a następnie wspólnie, w nocy, wydobywają ten, tym razem cenny już skarb i dzielą się łupem. O ich działalności świadczą jedynie spotykane ogromne doły i zbutwiałe deski, pozostałości ze skrzyń. Jak dotąd na granicy nie przechwycono takiej kontrabandy. Jak jest

wywożona na zachód - trudno powiedzieć.

Inną sprawą jest natomiast badanie podziemnych fabryk i zbrodni popełnionych pod ziemią - w czasie ich budowy, eksploatacji i maskowania. Tu mamy ogromne szanse na sukces, tu też możemy odnaleźć ów ogromny skarb Rzeszy. O jaki majątek chodzi?

W październiku 1947 r. Słowo Polskie we Wrocławiu podało następującą wiadomość: *W pobliżu Bolonii we Włoszech odkryto kompletnie wyposażoną fabrykę samolotów, zbudowaną przez Niemców w czasie wojny, w absolutnej złości tajemnicy przez faszystowski rząd włoski. W systemie taśmowym fabryka ta była zdolna produkować 10 samolotów dziennie, zajmując powierzchnię 40 tysięcy metrów kwadratowych!*

Odnalazły ją przypadkowo dzieci bawiące się w tym rejonie. Wejście w postaci dobrze zamaskowanej groty nie było wysadzane i zaminiowane. W jednym z korytarzy znaleziono 200 szkieletów ludzkich. Byli to więźniowie pracujący w tej podziemnej fabryce, wykutej w skałach. Ewakuowana była w pośpiechu. Posiadała, obok taśmy produkcyjnej, sprawną własną elektrownię oraz laboratorium doświadczalne do badań nad techniką odrzutową silników. Włosi ocenili, że znaleziona fabryka warta była 100 mln dolarów(!). Dodajemy od siebie, że liczba 100 mln dolarów szokuje, jeśli się zważy, że była to mała fabryczka.

W styczniu 1946 r. „Dziennik Ludowy” opublikował sensacyjną wiadomość: *Cale poznańskie zostało poruszone sensacyjnym odkryciem w okolicy Sulęcina. Zupełnie przypadkowo natrafiono na wejście do prawdziwego podziemnego miasta, rozciągającego się na powierzchni kilkudziesięciu kilometrów. Jest to podziemny kompleks olbrzymich podziemnych obiektów przemysłowych, obejmujących między innymi fabryki części samochodowych, montowanie silników, warsztaty mechaniczne i elektrownie. Podziemne miasto posiadało rozbudowaną kanalizację, doskonałą sieć elektryczną, dwutorową linię kolejową z licznymi bocznymi rozgałęzieniami.*

Takich fabryk - podała dalej gazeta - wybudowano dużo na terenie Polski Zachodniej. Robotników przymusowych, zatrudnionych pod ziemią, nigdy nie wypuszczano na powierzchnię. Wyjść strzegły silne oddziały SS. Przed zbliżającym się frontem podziemne miasta wysadzano, a gdy to z uwagi na rozmiar i zastosowanie było niemożliwe, wysadzano i niszczone tylko ważniejsze obiekty. W sulęcińskiej fabryce robotników wprowadzano lub wymordowano gdzieś w tunelach. Resztki urzędów mieszkalnych, baraków i magazynów wskazują, że Niemcy zatrudniali tutaj, w Sulęcinie, tysiące robotników.

Dlaczego powstały podziemne fabryki, dlaczego było ich względnie dużo i dlaczego prawie nic o nich nie wiemy? Niemcy już po I wojnie światowej, liczyli się z tym, że zwycięzcy zabiorą im wszystko, w tym też i broń, szczególnie ciężką. Gdy jednak przyszło do podziału łupów wojennych, okazało się, że np. zabrakło armat, które Niemcy mieli na stanie uzbrojenia. Aby jednak utrzymać ustalone limity reparacyjne zgodzono się, żeby przemysł niemiecki dalej produkował na przykład dział 75 mm, na pokrycie planu reparacji. Stąd przemysł zbrojeniowy Rzeszy Niemieckiej nie zaprzestał nigdy produkcji wojennej. Niemcy też nigdy nie pogodziły się z przegraną wojną. Już od 1925 r. trwała utajniona, ale intensywna odbudowa niemieckiego potencjału wojennego. Od czasu objęcia władzy przez Hitlera program zbrojeń został zintensyfikowany. Aby jednak uniknąć podejrzeń niedawnych zwycięzców i sąsiadów, władze niemieckie lokowały przemysł zbrojeniowy, szczególnie lotniczy, pod ziemią.

Podziemne fabryki umiejscawiano na wschodnich rubieżach Rzeszy, słabo zaludnionych, mało atrakcyjnych turystycznie, łatwych do ochrony przed penetracją obcych wywiadów.

Dla utajnienia budowy podziemnych fabryk zaczęto je różnie legendować. Raz były to niby kopalnie węgla brunatnego, innym razem innych materiałów; czasami fortyfikacje zaporowe przed domniamaną inwazją wojsk polskich czy też czeskich.

Pod legendą kopalni węgla brunatnego zbudowano prawie 50 km tuneli Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego (MRU) - nazwę wprowadzono oficjalnie w późniejszym czasie, gdy już legenda kopalni nie skutkowałą. W Mostkach usytuowano pierwszy pancernik i w obecności generalicji oraz attaché wojskowych dokonano pokazowych strzałów z dział, aby przekonać obecnych, że jest to inwestycja wyłącznie obronna. Ta sztuka zresztą się udała, bowiem mimo doniesień polskiego wywiadu o tym, że w tunelach mogą być produkowane samoloty i inna tajna broń, do dzisiaj jesteśmy wszyscy przekonani, że jest to zwykły rejon obronny.

Również w Lubiążu wybudowano potężny kompleks podziemny, obejmujący też wiele podziemno-naziemnych obiektów na terenie byłego powiatu Wołów, który wznoszono pod legendą kopalni węgla brunatnego.

Później, tuż przed wybuchem wojny, zaprzestawano zabawy w legendowanie, chociaż całkowicie z niego nie zrezygnowano. Zalecano mianowicie, aby każdy zakład, szczególnie zaś zakłady włókiennicze na dawnym pograniczu, zresztą bardzo liczne w tym rejonie, rozpoczęły budowę podziemnych tuneli, dla ukrycia maszyn, załóg i surowców na wypadek polskich bombardowań! Faktycznie zaś te tunele, później rozbudowane, stanowiły serce i trzon podziemnych fabryk zbrojeniowych.

Oczywiście, produkcja włókiennicza nadal się odbywała, ale była jedynie oboczna, często przeniesiona do szop i stodół, czasami zaniechano produkcji, oddając nadziemne budowle do dyspozycji administracji podziemnych fabryk, jednak dla zalegnowania utajnionej produkcji wojennej, nadal używano nazwy fabryki włókienniczych lub nazwiska ich właścicieli. Stąd też w materiałach archiwalnych spotyka się dziwne wprost zapisy, że np. Zakłady „Gemma Werke” w **Lubaniu** miały oficjalny adres: Winkler, Werk 5, Lubań, czyli inaczej - fabryka Winklera, zakład nr 5 w Lubaniu.

Inny przykład: Podziemne zakłady zbrojeniowe Schmidtchen und Co. używały nazwy fabryki papieru w **Uniegoszycy**, a zakłady „Walter” produkujące silniki do raket, umieszczone w zakładach przedalniczych Petzolda w Baworowie używały adresu ich właściciela, czyli „Beerberg” bei „Petzold”.

W budowie podziemnych fabryk wykorzystano też kościoły, klasztory, zespoły zabytkowe oraz cmentarze, podlegające w czasie wojny szczególnym konwencjom. Obiekty te, podobnie jak przemysł „cywilny” papierniczy czy włókienniczy, wykorzystano do zbudowania wejść do podziemnych hal, do zamontowania zespołów wentylacyjnych, odwadniających, do usadowienia dyrekcji, zarządu, biur konstrukcyjnych itp. Przykładów jest wiele, jak kościół i klasztor pocysterski w Gościńsku-Paradyżu, zespół pocysterski w Lubiążu, kościół i klasztor pocysterski w Krzeszowie, w Legnickim Polu, w Krzacynie.

Czy w tym świetle ziemia lubańska kryje podziemne fabryki i gdzie one są zlokalizowane? Do ważniejszych miejscowości należy zaliczyć niewątpliwie **Baworowo**. Według „Wykazu Wróbla” - listy poniemieckich podziemnych fabryk - nazwa pochodzi od nazwiska znalazcy - w pozycji 56. figuruje fabryka „Walter” w Beerberg (Niedzwiedzia Góra) bei Petzold. Kucie podziemnych tuneli dla tej fabryki legendowano budową kopalni węgla brunatnego. Dla obsługi podziemnej fabryki oraz dla wię-

źniów. Z dokumentacji odnalezionej i opracowanej przez Barbarę Grzybek, opublikowanej w Przeglądzie Lubańskim, wynika że obóz w Baworowie był przeznaczony dla 3656 więźniów (Polacy, Czesi, Francuzi, Holenderzy, Włosi), oraz 1120 Niemców (dozór techniczny, majstrzy, strażnicy z SS itp.). Każda z tych grup mieszkała w odrębnej części obozu. Wiem też, że więźniowie mieszkali w barakach, a pracowali pod ziemią. Co się z nimi stało - nie wiadomo. Według „Wojskowego wykazu obiektów opuszczonych” z 13 lutego 1953 r. obiekt podziemny w Baworowie został wykuty wzdłuż całej góry, znajdującej się częściowo na terenie fabryki ówczesnego PZJG. Fabryka była w czasie wojny wykorzystywana, jak piszą nasi wojskowi, przez niemieckie zakłady zbrojeniowe VDM. Obiekt nie został dokładnie zbadany. Sądząc po rozstawie wejść - piszą dalej - jest znacznie większy niż fabryka w Miłoszowie. Wzdłuż podziemnych chodników przebiegają tory kolejki wąskotorowej.

Jeśli chodzi o podziemne zakłady w **Miłoszowie**, to był tu Arbeitslager Hartmannsdorf, czyli obóz pracy podległy obozowi w Gross Rosen (Rogoźnica) a także Stalag IV F, czyli obóz jeniecki. Więźniów zatrudniano w podziemno-naziemnych zakładach „Walter”, przy dalszej rozbudowie tuneli podziemnych oraz w fabryce koncernu IG-Farben, Weinert und Sohn. Obóz w Miłoszowie doczekał się odrębnej sprawy w Komisji Badania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu - Okręgowa Komisja we Wrocławiu, ale do akt sprawy nie miałem dostępu, mimo iż byłem członkiem tej Komisji i jej archiwum powinno być dostępne także dla dziennikarza. Jako przyczynę podano przedłużającą się reformę systemu ewidencji akt. Z ostatnich doniesień prasowych wynika, że akta Gross Rosen przekazano Niemcom. Polscy badacze tym samym nie będą mieli do nich dostępu.

Według wspomnianego wyżej wykazu wojskowego z 13 lutego 1953 r. obiekt podziemny został wykuty w górę znajdującą się na terenie Zakładów „Jedwab Galanterijny nr 10” w Miłoszowie. Fabryka była w czasie wojny wykorzystywana do celów wojskowych przez niemieckie zakłady zbrojeniowe VDM. Obiekt dokładnie nie zbadany. Wiadomo, że wewnątrz przeprowadzone są tory kolejki wąskotorowej. Niestety, i tu wojskowi nie spieszyli się aby dokładnie zbadać cały obiekt.

Zarówno zakłady w Miłoszowie jak też zakłady w Baworowie i Leśnej podlegały pod koncern VDM Luftfahrtwerke (Vereinigte Deutsche Maschinenwerke GmbH) czyli Zjednoczenie Niemieckiego Przemysłu Lotniczego. Ten państwowy koncern był w „Wykazie Wróbla” szeroko prezentowany, bowiem wymienia się tam tego typu zakłady w Krzacynie-Kowarach, we Wrocławiu, w Bolkowie, Mioszowie, w Zakrzcu itp. O ich wadze i znaczeniu świadczy to, że w grudniu 1944 r. zostały umieszczone na specjalnej liście przydziałowej ludzi i surowców, bowiem ich produkcja miała uratować Rzeszę od klęski.

Według wykazu cytowanego wyżej, w Gryfowie w fabryce Petzolda mieściły się zakłady „Walter”. Podlegały one fabryce w Baworowie. Wiadomo jedynie, że były wydrążone tunele. Nie wiadomo natomiast czy uruchomiono w nich produkcję. Temat wymaga dalszych badań. W archiwum odnalazłem interesujący zapis. Otóż niemiecki ksiądz Glasser na pewnym grobowcu postawił krzyż mający upamiętniać objęcie przez nas Ziemi Zachodnich. Wtedy to uwierzono. Dzisiaj sędzę, że w ten sposób bogobojny „księżulo” niemiecki zamaskował wejście do podziemnej fabryki prowadzące przez grobowiec! To też należałoby sprawdzić.

Dysponujemy też inną, niezwykle wiarygodną informacją, a jej źródłem jest inżynier niemiecki, specjalista od łodzi podwodnych. Od zakończenia wojny do roku 1953 mieszkał on w Szklarskiej Porębie, skąd wyjechał na stałe do RFN, wywożąc cały wagon najnowocześniejszych obrabiarek i ukryte w ich obwodach sztaby złota.

Od niego wiadomo, że w styczniu 1944 r. ewakuowano do podziemnej fabryki w Gryfowie jeden z tajnych oddziałów zakład Askania Werke z Berlina. W podziemnych kazamatach w Gryfowie kontynuowano badania i produkcję aparatury nawigacyjnej dla lotnictwa i marynarki wojennej, a w tamtejszych podziemnych laboratoriach badawczych prowadzono studia nad urządzeniami hydraulicznymi dla okrętów podwodnych i samolotów. Wyniki natychmiast wdrażano na miejscu do produkcji.

Giebultów (Gebharsdorf) - według „Wykazu Wróbla” na poz. 30 figurują zakłady „Aerobau” zainstalowane w firmie Merfeld und Co. W materiałach Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce jest zapis stwierdzający, że była tu filia KL Gross Rosen i obóz pracy przymusowej dla Holendrów. Funkcjonował też Arbeitslager dla kobiet, które pracowały na powierzchni w zakładach Marfelda przy produkcji wojennej firmy

LUBAŃ, LEŚNA i okolice

Podziemne zagadki III Rzeszy

Aerobau. Firma Aerobau mieściła się też w fabryce Heinricha Lechmana. K.G. w Gebharsdorf, a w niej pracowali Luksemburczycy. Fakt ten stwarza pewne szanse dla Giebułtowa, tylko należy je umiejętnie wykorzystać, tak jak to zrobił Lubiąż.

Leśna (Marklissa) - na „Wykazie Wróbla”, w poz. 61, figurują omawiane już zakłady VDM - Luftfahrtwerke AG, Werk Marklissa, Kreis Lauban. Była to podziemna fabryka sprzętu radiotechnicznego, niezwykle precyzyjnego jak na owe czasy, wykorzystywanego do sterowania rakietami. Niektórzy twierdzą, że w Leśnej produkowano też tzw. lampy metalowe, czyli ówczesne tranzystory. Była to rewelacja techniczna, umożliwiająca precyzyjne sterowanie rakietami. Po wojnie zakłady znalazły się pod zarządem wojska. Znalezione tu ogromne ilości części radiowych oraz całą dokumentację techniczną konstrukcji do sterowania rakietami. W budynkach dawnej tkalni była fabryka V1. Zabudowania były zniszczone w 40%, maszyny wywieźli Rosjanie. Do produkcji wojennej wykorzystano też zakłady „Concordia” - tkalnię, wykańczalnię, przędzalnię tkaniny z jedwabiu sztucznego. Byli tu również na robotach przymusowych Luksemburczycy. Ich obóz nr 110 mieścił się w domu dla umysłowo chorych. Pracowali w firmie Kabelwerke, mieszczącej się w zakładach Concordia. Wykonywali tuleje do V1. Według ich relacji pewien inżynier z polskiego podziemia prosił o taka tuleję i otrzymał ją w tajemnicy, chociaż trudno było wynieść jakikolwiek detal z zakładu. Fakt ten może posłużyć do nawiązania dialogu między kombatantami Leśnej i Luksemburga!

W Słowie Polskim nr 198 z 8.05.1992 r. ukazał się interesujący artykuł pt. „Góra pełna tajemnic - uwaga złoto”. Z jej treści wynika, że w Leśnej była podziemna fabryka, mająca dwa wejścia, dwie sztolnie. Była umieszczona w tunelach wykutych w skale, posiadała kilka gigantycznych hal. Pod koniec wojny do tuneli wjechało od strony Gryfowa 13 samochodów ciężarowych, eskortowanych przez cztery „gaziki”. Po przekroczeniu bramy wjazdowej SS-mani wysadzili wejścia, a szyby wentylacyjne zniszczyli granatami. Po fabryce nie ma śladu. Niemcy - świadkowie mówiący o tym zginęli w tajemniczych okolicznościach. Żyje świadek pośredni. Do zawalonych wejść prowadziła droga asfaltowa, która nagle u podnóża góry urywa się. Z informacji zaczerpniętych z Przeglądu Lubańskiego wynika, że burmistrz Gminy Leśna zamierza otworzyć sztolnię dla celów turystycznych. Wypada tylko szczerze gratulować wspaniałego pomysłu. Oby to tylko nie była czcza przechwałka!

Lubań (Lauban). Przy ulicy Włociańskiej 1/2 (obecnie ulica Esperantystów) mieściły się zakłady lotnicze „Gemma Werke” wyrób części motorowych. Właścicielem zakładu była III Rzesza, czyli koncern VDM. Podobne zakłady podziemne mieściły się w byłym klasztorze pocysterskim w Legnickim Polu, a także w Miłoszowie, gdzie były obsługiwane przez jeńców stalagu IV F. W Legnickim Polu produkowano samoloty odrzutowe.

Przy ulicy Robotniczej 17 mieściły się zakłady wyrobu chusteczek do nosa, należącej do Petzolda i spółki. Należy założyć, że pod tym obiektem będzie ukryta, dobrze zamaskowana podziemna fabryka. Z całego przeglądu materiałów wynika, że Petzold był zaufanym i gorliwym hitlerowcem, gdyż we wszystkich jego fabrykach były podziemne zespoły.

Lubań i okolica stanowiły dla III Rzeszy bardzo ważny ośrodek produkcyjny. Musiało tu być zgromadzone bardzo dużo więźniów, o czym świadczyć pozostawione nam w spadku pralnie mechaniczne. Według

inwentaryzacji przeprowadzonej w 1947 r. na terenie Lubania było aż 6 pralni mechanicznych, które służyły do prania więźniarskiej odzieży. Według nazw z 1947 roku mieściły się przy ulicach: Kopernika nr 29 i 30, Waszkiewiczza, Zgorzeleckiej 71, Światlanej 1, Szerokiej 31. Były też 3 pralnie terenowe w Uniegoszczu, Siekierzynie, w miejscowości Lipy Dolne. Pragnę podkreślić, że w tym czasie tj. w czasie wojny, pralnie mechaniczne uruchamiano tylko dla obsługi lagrów.

Uniegoszcz (Bertelsdorf). Na „Wykazie Wróbla” umieszczone zostały tajne zakłady zbrojeniowe „Schmidtchen”, umieszczone w zakładach przędzalniczych (Mechanische Weberei) Hermana Teichgrabera. Ten właściciel miał swoje zakłady w sąsiedniej Radogoszczu, a także w Bartnikach, Gieninie (nazwy ówczesne) w powiecie Lubań oraz Uboczu - powiat Lwówek. Wszędzie była produkcja zbrojeniowa, a w Uboczu produkowano silniki samolotowe typu „Argus”. W Świebodzicach zaś, w tkalni mechanicznej należącej do Teichgrabera zainstalowały się zakłady lotnicze z Berlina - AFG czyli Allgemeine Flugs Gesellschaft.

Siekierzyn. Funkcjonowały tu tajne zakłady zbrojeniowe o szczególnym znaczeniu dla Rzeszy, noszące nazwę „Lange und Ribscher”. Figurują na wykazie, szczegóły nie są znane.

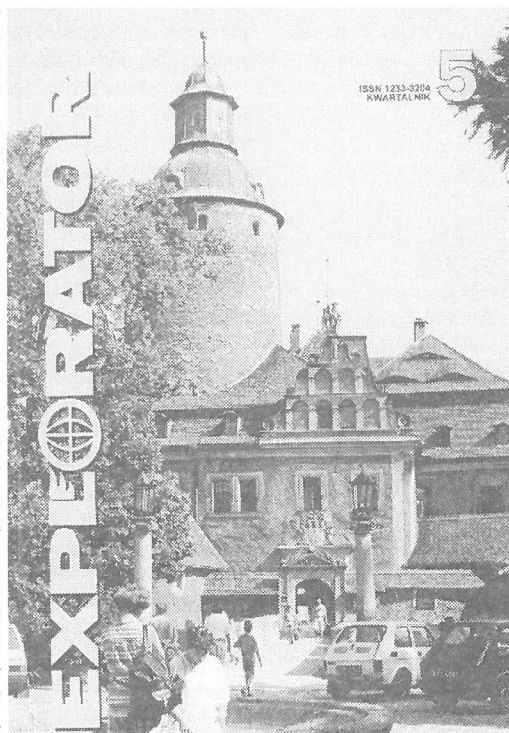
Pisarzowice koło Lubania (Schreibersdorf). Był tu stalag, ale gdzie pracowali jeńcy, nic o tym bliżej nie wiadomo.

Zawidów (Seidenberg). Są podziemne tunele, nie badane przez nikogo. Przy ulicy Dworcowej 1 była fabryka siatek drucianych wykorzystywanych do obudów żelbetonowych tuneli. Przy ulicy Młynarskiej 8 i przy Grunwaldzkiej 4 mieściły się tkalnie i wykańczalnie jedwabiu. Przy nich powinny być obiekty podziemne.

Świeradów Zdrój (Bad Flinsberg). Był tu obóz pracy dla Luksemburczyków; po 24 listopada 1942 r. z obiektu usunięto Luksemburczyków, a ich miejsce zajęli przymusowi robotnicy z Białorusi. W obszarze obozu luksemburskiego musiała być podziemna fabryka, która była doskonale maskowana przed więźniami. Dopiero, gdy na tym obiekcie zaczęto produkować przypuszczalnie części do V1 lub do V2 maskowanie nie było już potrzebne. Luksemburczyków zabrano, by ich z konieczności nie zabijać, a na ich miejsce przybyli Białorusini, którzy już nigdy nie wrócili do świata żywych.

Specjalnych badań wymagają miejscowości: Olszyna Lubańska, Pobiedna, Pieńsk, Mirsk i Sokołowo powiat Lubań, który mieściła się firma zbrojeniowa Aero, a także Nawojów, Mała Wieś Dolna, Kościelniki Górne. W tych miejscowościach działo się coś się ważnego, ale więźniów wymordowano albo rozproszono i przez to nie mamy dokładniejszych informacji. Ale może ma je ktoś z naszych Czytelników? Czekamy na kontakt!

Stanisław Siorek



EXPLORATOR - badania, poszukiwania, odkrycia, zaginione skarby. Numer 5 pisma (dostępnego jedynie w prenumeracie) traktuje o tajemnicach ziemi lubańskiej. Można go nabyć m.in. na Zamku Czocha i w naszej redakcji.

Od redakcji: Tekst ten ukazał się w kwartalniku „Explorator - badania, poszukiwania, odkrycia, zaginione skarby”, nr 5, 1998 (p. obok). Jego zasadnicze elementy przedstawił autor na Zamku Czocha podczas spotkania z czytelnikami PL 29 marca 1996 r. (p. relacja w PL nr 5/96). Tytuł artykułu i zdjęcia pochodzą od redakcji.

¹ W cyklu „Przegląd” na tropach sensacji II wojny światowej dotychczas opublikowaliśmy:

- 1) J. Skowroński - „Tajemnicze eksperymenty w Lubaniu” (nr 8/96),
- 2) J. Kulczycki - „Akcja NOC I MGŁA w Lubaniu” (9/96),
- 3) J. Kulczycki - „Obozy Lubania” (2/97).

BIEDRZYCHOWICE

Z udziałem naszego zespołu redakcyjnego

Tydzień Kultury Języka Polskiego w Biedrzycach

16 marca w Zespole Szkół Rolniczych w Biedrzycach zainaugurowano III edycję Tygodnia Kultury Języka Polskiego. Rozpoczęto go „Wielką Improwizacją” z „Dziadów” Adama Mickiewicza, we wspaniałym wykonaniu aktora jeleniogórskiego pana Zbigniewa Górskiego, który wcielił się w Konrada i Andrzeja Hylińskiego ucznia biedrzychowskiej szkoły, występującego w roli księdza Piotra. Szczególne słowa uznania należą się Andrzejowi, który wykazał się bardzo dobrą grą przy boku zawodowego aktora.

Kolejnym z imprez była sesja popularno-naukowa poświęcona Adamowi Mickiewiczowi. Odczytano sześć referatów traktujących o dzieciństwie, miłości, wpływie Towiańskiego i śmierci wieszcz. Referenci przedstawili wiele ciekawostek z życia Mickiewicza.

O tym, który referat był najciekawszy zdecydowała widownia. „Miłość i erotyzm w życiu Adama Mickiewicza” opracowany przez Monikę Jastrzębską z Liceum Ogólnokształcącego w Lubaniu – okazał się zdaniem słuchaczy najlepszy.

My przyznaliśmy nagrodę Przeglądu Lubańskiego. Otrzymała ją Iwona Peczek, również uczennica lubańskiego LO, za referat „Towiański w życiu Adama Mickiewicza”.

17 marca zorganizowaliśmy spotkanie uczniów szkoły z naszą redakcją. Musimy przyznać, że bardzo wysoka frekwencja mile nas zaskoczyła. Naczelny – Janusz Skowroński opowiadał młodzieży o skarbach, jakie znajdowały się w zamku hrabiny von Pfeil – dziś budynku ich szkoły, o jego historii i tajemnicach. Szczególne zainteresowanie wzbudził temat zamkowych podziemi. Zbigniew Madurowicz przedstawił w jaki sposób powstaje nasza gazeta, kto ją redaguje i dlaczego. Zachęcaliśmy gorąco młodzież do redagowania własnej gazetki szkolnej. Radziliśmy by „zejść ze ścian” i stać się pismem kolportowanym w szkole. To nic, że początki mogą być trudne. Ale – przekonywaliśmy – próbować zawsze warto. Ze swej strony obiecujemy pomoc ambitnej redakcji.

Tego samego dnia odbyły się jeszcze prezentacje literackie przy kominku i konkurs jednego wiersza. Za najlepszy wiersz uznano „Dostałam kredyt” autorstwa Karoliny Rutkowskiej z klasy II D lubańskiego LO.

*Dostałam kredyt
krótkoterminowy
na szczęśliwe życie
stojąc w kolejce po wiare
kupiłam zwątpienie w miłość
przymierzając nadzieję
rozerwałam szew rozczarowania
prosząc o przyjaźń
dostałam przeterminowaną szczerość
wczoraj spłaciłam
pierwszą ratę - naiwność*

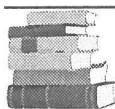
II miejsce przyznano za wiersz „Podobno...” Monice Cichoń z LO w Mirsku

III miejsce za wiersz „Narzuć płaszc...” Urszuli Zalewskiej z LO w Lubaniu

Wyróżniono: „Przechadzkę po parku” Joanny Byczkowskiej z LO w Mirsku, „Moją i Twoją doskonałość” Joanny Obruśnik z Zespołu Szkół Rolniczych w Zgorzelcu, „Kiedy raj będzie już tylko wspomnieniem...” Anety Piotrowskiej z LO w Mirsku. Gratulujemy zdolności poetyckich, nie tylko nagrodzonym, ale wszystkim uczestnikom konkursu, który stał na bardzo wysokim poziomie.

18 marca - Turniej Żywego Słowa. W tym dniu uczniowie mieli okazję popisać się swoimi zdolnościami recytatorskimi.

I miejsce za recytację księgi „Pana Tadeusza”



Księgarnia przy ul. Spółdzielczej w Lubaniu poleca:

„Przeglądowy Atlas Świata”

Atlas powstał przy wykorzystaniu współczesnych technik komputerowych. Jego aktualność gwarantuje wykorzystanie nowych zdjęć satelitarnych. Mapy przeglądowe w skali 1:5 mln i 1:15 mln z plastycznie przedstawioną rzeźbą terenu dają doskonały trójwymiarowy efekt. Graficzne oznaczenia miejscowości informują o walorach krajobrazowych miejscowości. Europa Środkowa opracowana została w skali 1:1 mln. Świat oraz wszystkie kontynenty posiadają swoje mapy podziału politycznego. Atlas zawiera leksykon geograficzny obejmujący kontynenty, oceany i poszczególne państwa świata. Funkcjonalny skorowidz wszystkich nazw geograficznych ułatwia korzystanie z atlasu. **Caroline Young - „Wielkie poszukiwanie zwierząt”**

Oto wyzwanie – na każdej rozkładówce tej książki ukrywa się mniej więcej setka zwierząt. Każda pięknie zilustrowana scena przedstawia inny region świata kipiący miejscową fauną. Prażona słońcem Sahara, mroźna Arktyka, bagna Florydy i wody Wielkiej Rafy Koralowej – to tylko niektóre ze środowisk ukazanych w tej książce. Wielkie poszukiwanie zwierząt to nie tylko okazja do zabawy przez wiele godzin, lecz także wiele ciekawostek o zwierzętach w krótkich, łatwych do przeczytania i zapamiętania podpisach do ilustracji.

Richard Courant, Herbert Robbins - „Co to jest matematyka?”

Jest to „błyskotliwa opowieść o podstawowych pojęciach i metodach matematyki” – Albert Einstein. Książka przeznaczona jest dla początkujących i zaawansowanych, dla uczniów i nauczycieli, dla filozofów i inżynierów, to wspaniała kolekcja pereł matematyki i piękny pejzaż tej niezwyklej dzie-

przynano Sylwii Wielewskiej z Zespołu Szkół Rolniczo-Ekologicznych z Jeleniej Góry. Pozostałe miejsca przypadły bezkonkurencyjnym przedstawicielom organizatorów: II – Annie Nowak („Nad wodą wielką i czystą”, „Ferdurke”), III – Andrzejowi Hylińskiemu („Widzenie księdza Piotra”, „Konopielka”), trzy wyróżnienia przyznano: Monice Ziętek (fragment IV części „Dziadów”), Wandzie Plucienniczak („Komar niewielkie lichy”), Oli Sokołowskiej (fragment „Ogniem i mieczem”).

W ramach Tygodnia Kultury młodzież uczestniczyła również w spotkaniu z aktorem i reżyserem z Warszawy Januszem Mirczewskim. Wyслуchała recitalu poezji romantycznej aktora p. Szymańskiego. Jak widać – cały tydzień obfitował w ucztę dla duszy, a to wszystko dzięki wspaniałemu pomysłowi zorganizowania takiej imprezy no i oczywiście organizatorom: dyrekcji, polonistom i samorządowi uczniowskiemu z Zespołu Szkół Rolniczych w Biedrzycach.

Izabella Ślęk

dziny ludzkiej wiedzy.

Donald Spoto - „Diana ostatni rok”

Donald Spoto opisuje ostatni rok życia księżnej Walii. Pokazuje jak ze znerwicowanej kobiety, otoczonej wianuszkami służby, przyniecionej stosami strojów, rodzi się kobieta dojrzała, która osiąga równowagę między poświęceniem dla innych a życiem dla siebie.

„Dziennik cara Mikołaja II”

Dziennik ostatniego cara Rosji to niezwykle szokujący dokument. Wprost wierzyć się nie chce, że wyszedł spod pióra władcy wielkiego imperium. Rzecz w tym, że Mikołaj nie znośił roli jaką przyszło mu odgrywać w państwie. Polityką mało się interesował, dworski ceremoniał denerwował go i nudził. Treść jego życia stanowiły zabawy, polowania, teatr, parady wojskowe, plotki a zwłaszcza rodzina. Ważne wydarzenia historyczne znalazły w dzienniku zupełnie nieoczekiwane odbicie.

Wybrała: Izabella Ślęk

Przepraszamy

W poprzednim PL błędnie podaliśmy w relacji sesji Rady Miejskiej nazwiska referujących stan bezpieczeństwa publicznego w mieście. W imieniu Sądu Rejonowego w Lubaniu informację złożył Jerzy Reichelt – przewodniczący Wydziału Karnego, nie zaś jak podaliśmy – Jerzy Miedziński, prezes sądu. Oba zainteresowanych panów przepraszamy.

Redakcja

**PRZEGŁĄD
LUBAŃSKI**

Twoja gazeta!

**MASZ TEMAT DLA NAS?
CZEKAMY!!!
TEL. 722-67-00**

Należy niewątpliwie do najatrakcyjniejszych obiektów w naszym województwie. Położony nad spiętrzonymi wodami Kwisy okazałe góruje Zamek Czocha nad całą okolicą. Budzi podziw choćby i dlatego, że miał szczęście do gospodarzy i nie popadł w ruinę, czego zazdrościć może mu wiele zamków w okolicy, tego szczęścia pozbawionych. Budzi podziw i z innego powodu. A to za sprawą licznych tajemnic, zwłaszcza o ukrytych tu i przechowywanych podczas II wojny światowej skarbach a zrabowanych stąd równo pięćdziesiąt lat temu, w majestacie prawa polskiego „Dzikiego Zachodu”. Zaskakująca jest przy tym atmosfera, jaka przez ostatnie pół wieku towarzyszyła zamkowemu dziejom i sztuka dezinformacji, skutecznie blokująca poznanie prawdy. Dziś uchylamy te tajemnice...

Tajemnice Zamku Czocha (20)

Tu tobie mogiła! czyli jak zamkowe skarby trafiły do Siekierczyna

A właściwie do Jeziornej, bo tak wówczas nazywała się ta podlubańska wieś. Jak pisałem w jednym z poprzednich odcinków „Tajemnic”, spisywanie skarbów Zamku Czocha powierzono jesienią 1945 roku Referatowi Kultury i Sztuki Starostwa Powiatowego w Lubaniu.

Odkrywano coraz to nowe skrytki. Jedno z najważniejszych odkryć zanotowano już 25 listopada 1945 roku. Wówczas to znaleziono 3 skrzynki i jeden kufer srebra antycznego o ogólnej liczbie 362 sztuk. Spisywanie zamkowych skarbów powierzono Karolowi Orliczowi, kierownikowi Referatu Kultury i Sztuki w lubańskim starostwie. Ilość srebra przytłaczała swoim rozmiarem i bogactwem - w samym tylko kufrze znajdował się futerał (rachowany jako jedna sztuka!), który zawierał srebrne sztuce stołowe na 24 osoby. Nic więc dziwnego, że Orlicz sporządzając komisyjny protokół z odkrycia, zawiadomił burmistrza Leśnej, obu komendantów MO w Leśnej, administratora majątku należącego do zamku oraz swoich bezpośrednich przełożonych - obu lubańskich starostów: Antoniego Stawiarskiego i Stanisława Kiendę. Tak skrupulatne wypełnianie obowiązków służbowych miało się w niedługim czasie obrócić przeciwko sumieniu referentowi, ale tymczasem...

Zabezpieczone na zamku srebro kusilo. I to nie byle kogo. Pierwszym był generał dywizji Wacław Szokalski z Warszawy, pełnomocnik Naczelnego Dowództwa do spraw Osadnictwa Wojskowego, późniejszy prezes Związku Osadników Wojskowych. Wicestarosta Kienda nie omieszczał pochwalić się generałowi zabezpieczonymi skarbami, gdy ten przeprowadzał inspekcję gmin w powiecie lubańskim, ale na zamku „...wobec nieodnalezienia kluczy do piwnicy, srebra wówczas nie oglądano.”

Nim zdecydowano w Lubaniu o odesłaniu srebra antycznego na Wawel do Krakowa, gdzie mieściła się Dyrekcja Państwowych Zbiorów Sztuki, dokonano swoistej „segregacji”.

Zbliżał się Sylwester, pierwszy po zakończeniu wojny. Przedsiębiorczy wicestarosta Kienda uznał, że Wawel może poczekać i nie się nie stanie, gdy część zawartości zamkowych skrzyń może tu, na jego włościach powitać Nowy Rok 1946. Na przyjęcie sylwestrowo-noworoczne zadysponowano więc: 2 okrągłe tace, 2 owocarki, 1 sosjerkę, 6 srebrnych talerzy i 69 sztuk z kompletu naczyń stołowych, jak łyżki, widelce itp. Wszystko to oczywiście było ze srebra.

Niestety, nie nawiązano do wcześniejszych (i obecnych!) tradycji bałów sylwestrowych na zamku, bo całą imprezę postanowiono przenieść do cichej, spokojnej Jeziornej - czyli dzisiejszego Siekierczyna.



Karol Orlicz (na zdjęciu z córką Tosią) - człowiek, któremu powierzono spisanie zamkowych skarbów

ze zbiorów rodzinnych Antoniny Orlicz-Swillo

Tam pod numerem 331 znajdowało się 10-hektarowe gospodarstwo rolne, będące jednym z najbogatszych w całej wsi. Przydzielił je sobie w majestacie ówczesnego prawa lubański wicestarosta Stanisław Kienda. Oczywiście postarał się, by prowadził mu je ktoś z dalszej rodziny, którą ściągnął tu, do Jeziornej.

Charakterystycznym dla tamtych czasów było to, że osadnicy wojskowi otrzymywali gospodarstwa po dwóch, będąc tzw. „wspólnikami” - mówi dziś Janusz Niekraś, wójt gminy Siekierczyn.

Jednak wicestarosta lubański wspólnika nie otrzymał. Kto i co jadł na zamkowym srebrze pamiętnego Sylwestra, trudno już dziś dokładnie ustalić. W każdym bądź razie referent Orlicz nie mógł przez to wypełnić poleceń i nie odstawił na Wawel całego depozytu. Gdy wicestarostę Kiendzie zaczął niebawem palić się grunt pod nogami, spytał się oskarżenia o niemieckie pochodzenie (co było niesłuszne i z czego się wybronił) i o małwersacje gospodarcze (tu o udowodnienie niewinności było już znacznie trudniej), postanowił zmienić teren działań. Wojewoda wrocławski Stanisław Piaskowski powołał go na równorzędne stanowisko ale... w Środzie Śląskiej! Ciekawostką jest, że Kienda opuszczając powiat lubański, nie opuścił gospodarstwa 331 w Jeziornej, zaglądając tu od czasu do czasu. Może wiedział, że warto je zatrzymać, a może...?

Wielce interesujący okazuje się dokument, do którego - przynajmniej - dotarłem po wielu żmudnych zabiegach. Jest to skarga złożona prokuratorowi w Jeleniej Górze na starostę lubańskiego Stanisława Klimaszewskiego. Skarżącym był Stanisław Kienda, wcześniejszy lubański wicestarosta, a cała sprawa rozgrywała się 1 czerwca 1946 roku we wsi Jeziorna, w jego domu pod numerem 331. Przytaczam ją w oryginale:

„Kilka godzin po moim (Kiendy) przyjeździe do mieszkania przyjechali Ob. Starostowie (Starosta i wicestarosta, byli nimi - Stanisław Klimaszewski i Michał Krysa) i weszli do mieszkania. Ob. starosta Klimaszewski arogancko podniesionym głosem zaczął ma mnie krzyczeć:

- „Ty gestapowcu, kurwa twoja mać, co ty tu chcesz na tym gospodarstwie”, a potem podniósł łaskę do góry i zamachał się na mnie, chcąc uderzyć po głowie. W tym momencie podskoczyła jego żona, schwyciła za rękę oświadczając:

- „Stasiu, coś ty zwariował, co ty robisz!”

Wtedy Klimaszewski zaczął krzyczeć:

- „Wszystko jedno! Ja cię zastrzelę, tu tobie mogiła, choć tu cię nie będę mógł zniszczyć, zniszczę cię później”.

Po pewnym czasie Ob. Starostowie odjechali...

Czy rzeczywiście Klimaszewski „zniszczył” Kiendę? Coś w tym jest, bo ten ostatni zasiadł w kilka miesięcy później na ławie oskarżonych w procesie o rabunek zamkowych skarbów. Dostał za to 12 lat więzienia, co dodane do wcześniejszych ośmiu za małwersacje gospodarcze było wyrokiem bardzo wysokim.



Generał Wacław Szokalski - jego również kusily zamkowe skarby

foto ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Lubaniu



Siekierczyn nr 331. Tu zamieszkiwał wicestarosta lubański Stanisław Kienda. Nowy Rok 1946 witał przy dość osobliwie zastawionym stole...

Czytelników zainteresuje z pewnością, co stało się dalej z siekierczyńską częścią zamkowych skarbów. Przewód sądowy został poprzedzony drobiazgowym śledztwem, z udziałem lubańskiego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Już w tydzień po zatrzymaniu wicestarosty, podczas rewizji przeprowadzonej w dniach 29 i 30 września 1946 roku w Jeziornej wykryto, że na sąsiedniej posesji nr 340, zamieszkałej przez niejakiego Bazylego Korenkiewicza znajdują się zamkowe skarby zdeponowane tu przez wicestarostę Kiendę. Zezwolenie na przechowywanie skarbów w prywatnym domu oczywiście nie znaleziono. Wyrokiem jeleniogórskiego Sądu Okręgowego postanowiono znalezione skarby „stanowiące mienie poniemieckie przekazać do dyspozycji Urzędu Likwidacyjnego, jako urzędu uprawnionego do dyspozycji mieniem poniemieckim”.



Siekierczyn nr 340 - dziś jest tu Ośrodek Zdrowia. W 1946 roku znaleziono tu podczas rewizji część skarbów Zamku Czocha

Dziś, po wielu latach od tamtych wydarzeń, w Siekierczynie nikt o skarbach z zamku nic nie wie, bo i skąd. Inne czasy, inni ludzie. Zaglądam do domu nr 331. Pani Iwona Pisarska opowiada mi, że mieszkająca tu wcześniej pani Jóźwiakowa wspominała o jakimś złocie, ponoć tu schowanym. Ci Jóźwiakowie mieli wysoko postawionego krewnego w Warszawie. We wsi mówią o samym Franciszku Jóźwiaku - „Witoldzie”, generale i komuniście z PPR i AL. Tym samym, który w latach 1944-49 był komendantem głównym MO, a potem nawet wicepremierem. Coś jest na rzeczy, bo sprawę Kiendy zainteresował się sam Władysław Gomułka, wówczas Minister Ziem Odzyskanych a zachowane dokumenty potwierdzają, że jeden z jego departamentów wiedział o dobrze zadbanym gospodarstwie w Jeziornej. Gdy Kienda poszedł siedzieć, ktoś skrupulatnie tę wiedzę wykorzystał.

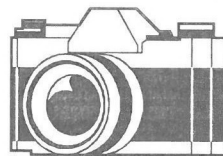
W dawnym domu zajmowanym po wojnie przez Bazylego Korenkiewicza pod numerem 340 jest dziś Gminny Ośrodek Zdrowia. Drugą część gospodarstwa zajmują państwo Maciochowie. Pani Maciochowa pamięta, że mieszkał tu Korenkiewicz, ale między sąsiadami nie układało się najlepiej.

Nie pamięta zbyt wiele. Podobnie jak pan Józef Słonecki, który znalazł się tu już we wrześniu 1945 roku. Ale przypominają sobie, że tuż po wojnie przyjeżdżali tu jacyś ważni osobnicy. Po co - nie dociekali. (cdn)

Janusz Skowroński

ZAKŁAD I SKLEP FOTOGRAFICZNY ROYAL-fotolabor

Lubań, ul. Grunwaldzka 2/3
poleca Państwu swoje usługi!



tu otrzymasz bezpłatnie archiwalne numery
„Przeglądu Lubańskiego”

TLUMACZ PRZYSIĘGŁY JĘZYKA NIEMIECKIEGO

mgr Krystyna Madejska

PL 59-811 Biedrzychowice 41, tel. (075) 722-15-03

Ogłoszenia drobne

☞ **Sprzedam** działkę budowlaną w Lubaniu, Os. Fabryczna 600 m². Wiadomość - tel.(075)722-54-29 lub 0 602 195217

☞ **Sprzedam** okazjnie suknię komunijną. Rozmiar 140 cm. Wiadomość - tel.(075)722-55-02

ZJAZD ABSOLWENTÓW

Z okazji 50-lecia szkoły i 40-lecia istnienia Technikum Ceramicznego w Krotoszynie (woj. kaliskie) w dniach 12-13 czerwca br. odbędzie się zjazd absolwentów i wykładowców obecnego Zespołu Szkół Zawodowych Nr 1 („CERAMIKA”) wszystkich typów szkół dziennych, zaocznych i wieczorowych.

Informacji udziela ZSZ Nr 1 ul. Mickiewicza 11 w Krotoszynie
tel. (062) 725-32-75
fax. (062) 725-30-15



Firma POLIGRAFIA s.c. WRZEŚNIEWSKI i K. BOSIAK PRODUKCYJNO -USŁUGOWO -HANDLOWA

59-800 LUBAŃ, UL. TKACKA 7
TEL. (075) 722-46-52

WYKONUJEMY

- pieczątki express (3 godz.), zaproszenia okolicznościowe
- metki, etykiety samoprzylepne
- sitodruk (nadruk na długopisach, zapalniczkach, breloczkach, foliach samoprzylepnych do formatu A-4)
- oprawa książek, dokumentów, czasopism itp.
- wizytówki - papier firmowy
- laminowanie, usługi ksero

Prowadzimy szeroką gamę sprzedaży druków gotowych.

Zapraszamy codziennie w godz. 8 - 17 w soboty w godz. 8 - 14

Firma jest płatnikiem VAT

CENY KONKURENCYJNE!

**PRZEGLĄD
LUBAŃSKI**

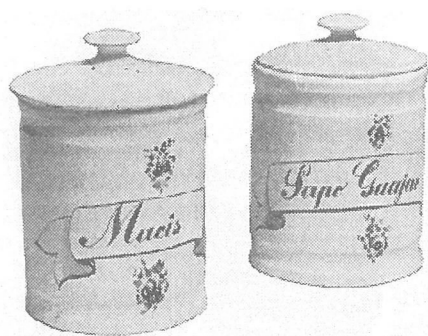
Twoją gazetą!

Reklamuj się u najlepszych!
Tylko 40 gr za 1 cm²
przy 2 powtórzeniach - zniżka 20%
SPRAWDZILIŚMY -
u konkurencji - DROŻEJ!

Szalone naczynia ceramiczne za często stopniowo wprowadzać do aptek już w końcu średniowiecza. W poprzednim numerze PL przedstawiłem Państwu wybrany okaz naczyńia aptecznego wraz z jego charakterystyką, w tym odcinku pragnę przybliżyć polskie manufaktury produkujące naczynia fajansowe. Rodzima ceramika apteczna zaczęła pojawiać się z końcem XVIII wieku. Spośród 8 znanych manufaktur, a więc w Prószkowie Śląskim, u Wolffa w Warszawie, Korcu, Tomaszowie Lubelskim, Baranówce, Lubartowie, Kole i Ćmielowie zdecydowanie najwięcej tych naczyń produkował najstarszy Prószków i najmłodszy Ćmielów.



Prószków położony na Śląsku Opolskim w latach 1779-1788 produkował 7 serii fajansowych słoików kulistych, na stopkach i bez stoppek oraz serię puszek aptecznych. Były wśród nich naczynia bez ornamentacji jak i zdobione kartuszkami pod postacią naturalnych roślinnych wianków, składają-



cych się z dwóch gałązek u dołu spiętych w węzeł niebieską wstążką. Całość utrzymana była w błononiebieskiej tonacji przechodzącej w ultramarynę.

Z manufaktury w Kole pochodzą puszki z nakrywkami i sztyldzikami wstążkowymi, wycinanymi na końcach. Dekorację stanowią naprzeciwległe wiązki czerwono-niebieskich kwiatów. Sygnatury pi-



Czar starych aptek (2)

sane są czarną kursywą, charakterystyczną kursywą.

Wyroby manufaktury w Baranówce posiadają typową ornamentację naszkliwną w for-



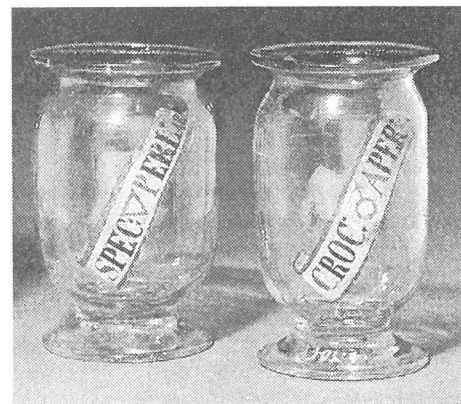
mie wieńca z dwóch gałązek dzikiej róży, w barwach zieleni i różu spiętych niebieską wstążką, wewnątrz z sygnaturą pisaną kursywą.

Najbogatsza produkcja naczyń aptecznych pochodziła z Ćmielowa, z tym że nieliczny jest fajans a przeważają wyroby z porcelitu, porcelany i kamionki. Charakterystyczne są wazoniki na wysokich nóżkach z typowymi dla Ćmielowa uchwytami w postaci baranich główek. Większość wyrobów Ćmielowskich nie ma ornamentacji (rzadkie kartusze wiankowe ze złotych liści), a sygnatury pisane są czarną XIX-wieczną kursywą. Od początku XX wieku Ćmielów produkuje już tylko cylindryczne puszki i sztandy.

Od przełomu XVII/XVIII wieku wprowadzono do aptek naczynia szklane. Właściwości szkła spowodowały, że tworzywo to stało się najbardziej przydatne na wszelkiego rodzaju naczynia apteczne. Dzięki swojej spoistości gwarantuje ono całkowitą nie-

przepuszczalność oraz chroni przed promieniowaniem w zakresie światła widzialnego i ultrafioletu.

Ślady używania naczyń szklanych w polskich aptekach sięgają XVI wieku, przykładem jest drzeworyt z 1534 r., na którym widać przezroczyste naczynia, gruszkowatego kształtu, cienkoszyjne z wklęsłymi do wnętrza dnami. Naczynia te zatykane były per-



gaminem, płótnem lub pęcherzem i uszczelniane woskiem. Zatyckki z korka pojawiają się dopiero po roku 1690 w Hiszpanii.

Do końca XVII wieku szkło było szare, nieodbarwione, najczęściej zielone. Początkowo sygnatury apteczne wypisywano na płóciennych wstążkach, uwiązanych do szyjek, później zaczęto nakładać napisy bezpośrednio na korpusie naczyń, malując je początkowo złotą farbą, a następnie, z powodu jej czernienia, zastąpiono ją czarną, białą lub czerwoną.

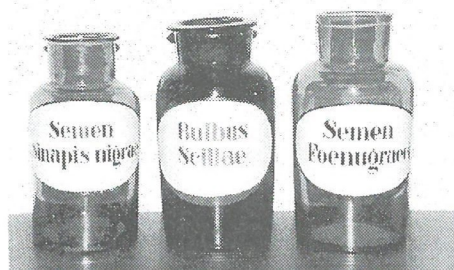
Sygnatury od połowy XVIII wieku pisało dwubarwną, barokową majuskulą, przy czym pierwsza litera była czerwona, pozostałe czarne. Na sztyldzikach pojawiły się skróty i znaki alchemiczne.

W wieku XIX giną graniaste naczynia. Wprowadza się pełną dowolność w ich kształtach. Większość naczyń przybiera kształt cylindryczny, pojawiają się szlifowane zatyckki. Ornamentacja szkła XIX-wiecznego była już znacznie skromniejsza lub nie stosowano jej wcale, ograniczając się do białych napisów bez sztyldzików lub do sercowatych, potrójnych, białych obrzeżonych tarcz z czarnymi sygnaturkami. (p.obok)

Specyfiką aptecznego szkła z tych czasów była jego wielobarwność. W II-połowie XIX wieku zaczęto wprowadzać standardowe, fabryczne szkło, najczęściej owalnego kształtu z sygnaturkami owalnymi i tarczowymi, obrzeżonymi czarnymi paskami z czarnym (czerwonym) liternictwem.

Do dzisiejszych czasów w aptekach, szczególnie tych nie okradanych lub prze-





noszonych i pracujących z pokolenia na pokolenie, zachowały się jeszcze naczynia pochodzące w większości już z XX wieku. Służą one często do dziś, a te które wraz postępowaniem farmacji, straciły już swoje znaczenie z powodu wycofania niektórych surowców są niemyym przykładem pieczołowitości i kunsztu dawnych aptekarzy i ówczesnego zdobnictwa.

W następnym odcinku przeczytacie Pań-



stwo o aptecznych wagach, odważnikach i miarach cynowych.

Pragnę jednocześnie zaapelować do Czytelników o pomoc w mojej pasji zbierania naczyń i utensyliów aptecznych oraz opa-



kowań dawnych leków. Wszystkich zainteresowanych proszę o kontakt z apteką w Olszynie, tel.(075)72-12-264.

Zbigniew Madurowicz



Unterwaltersdorf 22.03.1998 r.

Droga Redakcjo!

Piszę do Was ten list, ponieważ czuję potrzebę wyrażenia się i opisanie tego, co mi się przytrafiło. Otóż mieszkam od 9-ciu lat w Austrii i każda wiadomość z Polski i o Polsce jest bardzo chętnie słuchana i czytana a szczególnie, gdy dotyczy to Lubania. W Lubaniu byłem w wojsku tu ukończyłem technikum i tu pracowałem. Mam w Lubaniu dużo znajomych i przyjaciół, no i została tam jakaś część mojej pracy dla miasta. Do Lubania jeżdżę bardzo chętnie, odwiedzam stare kąty, spotykam się z przyjaciółmi i znajomymi. Dociera do mnie do Austrii Wasza gazeta, czytam ją bardzo chętnie, bo znam ludzi o których piszecie, poznaję na fotografiach mieszkających i znam ich problemy. Piszę do Was, bo to nie tylko mój problem ale wielu normalnych ludzi mieszkających w tym mieście. No więc od początku.

Przyjechałem do Lubania 16.03.br po niezbędne dokumenty dla Ambasady Polskiej, które są potrzebne przy zmianie obywatelstwa. Potrzebowałem zaświadczenie z Urzędu Finansowego, że ja i moja żona nie zalegamy finansowo oraz drugie, że nie posiadam mieszkania i jakieś nieruchomości. Tych zaświadczeń było o wiele więcej i bardziej skomplikowanych ale te dwa, które wydawały mi się najprostsze były najtrudniejsze nie do otrzymania ale nie ze względu na trudność tylko przez „urzędasów”, którym się wydaje, że są wszechwładni. Muszę dodać, że zaświadczenia powinny być z ostatniego miejsca zamieszkania. W moim przypadku był to Luban.

Chciałem przy okazji podziękować tym ludziom - urzędnikom, którzy nie przeszkadzali w uzyskaniu dokumentów. Spotkałem się z bardzo miłym załatwieniem sprawy. Pani Władysława Kaczmarek z Kuratorium, jak zwykle bardzo miła, uśmiechnięta i chętna do pomocy. Pan Włosek, który po męsku krzyknął na swoje urzędniczki: „Wymeldować go, przecież już tam nie mieszka dziewięć lat!”.

W Urzędzie Finansowym czy w Urzędzie Miejskim (w starym hotelu) to już były stare niezapomniane czasy.

W Urzędzie Finansowym czułem się jak „Szogun” w pierwszym odcinku, który został schwytany jako przestępca i postawiony przed obliczem pana „Jabu”. Potrzebowałem pisma, że nie zalegam finansowo. Kazano mi chwilę poczekać a po chwili urzędniczka oświadczyła mi, że takie zaświadczenie dostanę w Warszawie, wręczając mi adres. Była już zajęta inną sprawą. Pomyślałem sobie „Nie ze mną te numery Bruner” i po przedstawieniu jeszcze raz ale bardziej stanowczo o co mi chodzi i że do żadnej Warszawy nie pojedę. Gdy nie pomogły żadne prośby i argumenty byłem zmuszony udać się przed oblicze samej szefowej, a że byłem „ugotowany” wewnątrznie zapomniałem zapukać i w jednej sekundzie stałem 2,5 cm przed biurkiem jej wysokości.

A więc władczyni finansów była zbulwer-

sowana po pierwsze, że nie zapukałem, po drugie, że nie poczekałem pod drzwiami tylko ośmieliłem się sam podejść do biurka, no i po trzecie ośmieliłem się przed Jej obliczem żuć gumę.

A kropką nad i było to, że zastałem ją czytającą albo przeglądającą na kolanach jakieś kolorowe czasopisma, które po tytułach śmieją się, że nie mają nic wspólnego z jej pracą zawodową. Oczywiście było dla mnie jasne, że po takim „Wejściu Smoka” mogą tylko pomarzyć o jakimkolwiek zaświadczeniu... ale wystarczył jeden telefon do Jeleniej Góry i dostałem od „Jej wysokości” wszystkie papierki, które są niezbędne w ciągu 15 minut. Chyba do teraz jest im bardzo głupio.

Następna przeszkoda, którą musiałem przeskoczyć był Urząd Miasta w starym hotelu a konkretnie urzędnik państwowy - jego ekscelencja Pan Miękoś, który powinien mi wystawić zaświadczenie, że nie posiadam mieszkania albo jakieś nieruchomości. Tutaj poczułem się jak prawdziwy „obywatel”, który pokornie prosi o jakiś papierek i beczelnie (tym razem pukając) zakłóca rozmowę telefoniczną, bardzo ważną, bo chciał wiedzieć czy kartofle się już gotują.

Oczywiście zostałem wyproszony z biura i czekać aż on powie „wejść!”, ale chyba zapomniał o mnie, bo długo nie było „wejść!”.

I znowu wszedłem sam, opowiedziałem jaki jest cel mojej wizyty, przedstawiłem odpowiednie pismo, miałem ciepłe jeszcze papiery od notariusza, pismo o wymeldowaniu czyli komplet papierków, żeby wystawić zaświadczenie albo wystarczyło przycisnąć odpowiedni guzik w komputerze i w dwie minuty było wszystko jasne. Miękoś przeczytał pismo, inne papiery go nie interesowały. Nie podnosząc głowy, tak, że miałem wrażenie, że nie mówi do mnie, załkotal:

„Proszę napisać podanie, opisać wszystko i za 14 dni dostanie odpowiedź!” Próbowałem prosić, że ja z daleka, że niektóre dokumenty, które wystawione są dzisiaj mają termin ważności, że nie mogą czekać. Dalej, nie podnosząc głowy kazał mi wyjść. Po interwencji u burmistrza potrzebny papier dostałem natychmiast.

Z pewnością takich ludzi - to znaczy załatwianych w ten sposób jak ja - jest wielu. Ludzie zróbcie coś przecież to oni są dla Was!

To oni powinni nam służyć, być uprzejmi. Nie pozwólcie się tyraniżować takim, jak Miękoś i jemu podobnych.

Waldemar Szepetiuk, Austria

**PRYWATNY
GABINET LEKARSKI**
Bogusław A. Grzesiak
lekarz - pediatra
przyjmuje
w gabinecie
przy ul. Władysława Hermana 4
w poniedziałki i czwartki
od godz. 17
tel. (075) 722-64-24

Nowa Żadowa

Przyczynek do dziejów jednej z parafii bukowińskich

Żadowa względnie Sadowa, jako nazwa posiadłości ziemskiej i osady pojawiła się w różnych dokumentach od dobrych kilkuset lat. Kto wie, czy gruntowne przebadanie dokumentów moldawskich, polskich, ruskich, zwłaszcza zaś biskupów sereckich i kościoła rzymsko-katolickiego nie doprowadziłyby do ustaleń, które rzuciłyby zupełnie inne światło na wiele kwestii związanych z obecnością Polaków na Bukowinie, a także w interesującej nas miejscowości. Tymczasem poprzestańmy na nielicznych i dość ogólnych informacjach wprowadzających w sedno sprawy.

Przed wszystkim należy wiedzieć i pamiętać, iż dzięki Polakom głównie zaś dominikanom i franciszkanom polskim tutaj metropolie krakowskiemu - powołane zostało do życia biskupstwo moldawskie w 1371 r. z siedzibą w Serecie. Jest przeto wielce prawdopodobne, iż od tamtego czasu obszar, na którym znajdowała się Żadowa, podlegał biskupstwu sereckiemu. Ale równie dobrze mógł przynależeć bezpośrednio do którejś parafii archidiecezji lwowskiej, leżącej na pograniczu polsko-moldawskiej, gdzie nie wytyczono granicy pomiędzy sąsiadami.

Na tymże pograniczu polsko-moldawskim po obu stronach Seretu w okolicach ujścia Machidry (Michodry), lewobrzeżnego dopływu oraz Żadowki, prawobrzeżnego dopływu od bardzo dawnych czasów osiedlali się ludzie dając początek osadzie, która co jakiś czas ulegała doszczętnemu zniszczeniu, a następnie odradzała się na innym niezbyt oddalonym miejscu. Można się domyślać, iż zarówno dorzecze górnego Seretu, jak i bliskość Polski do 1772 r., wielorakie związki z Wyżnicą tudzież innymi osadami polskiego pogranicza w znacznym stopniu i ożywczo wpływały na mieszkańców interesującą nas wsi. I tak oto Żadowa, doświadczająca zmiennych kolei losu w ciągu stuleci, doczekała włączenia - w składzie Bukowiny - co państwa austriackiego w r. 1775.

Pod wielu względami ówczesna Żadowa przypominała siolą słabo zaludnioną Bukowinę, która w 1775 r. podobno nie miała więcej nad 75 tysięcy mieszkańców, a 25 lat później co najwyżej tę liczbę podwoiła. Natomiast Żadowa w 1800 r. liczyła 658 mieszkańców, niemal wyłącznie chrześcijan (638 dusz), wśród nich zapewne jakaś część katolików, (gdyż Żydów w arkuszu spisowym podano zaledwie 20), a pomiędzy nimi może nieco Polaków. Mieszkali oni w stu kilkunastu domach drewnianych, stanowiących jedną wieś założoną z 25 gospodarstw posiadających 106 koni i 86 wołów. Do Żadowy należały duże połacie lasów i nieużytków oraz znaczne obszary pól uprawnych tudzież pastwisk, będących własnością przede wszystkim kilku ziemian, pomiędzy którymi w XIX stuleciu znajdowali się Bazyli Białoszewski, Aleksander Gojan, Domitras Georg Tojan (Gojan), Rotoman, Wład i inni. Z upływem czasu zmienili się właściciele, pośród których coraz liczniejszą gromadę stanowili chłopi z małopolskim rodowodem.

Osada rozrastała się w kilku kierunkach, m.in. podążając ku północy i wschodowi, początkowo przekroczywszy Seret, na jego lewym brzegu, a z czasem przechodząc coraz dalej po względnie równinnej pości zasadniczo nie zmieniającej kierunku. Powolutku zaczęły się wyłaniać nowe przysiółki, a następnie osobne wioszczyny, jak Nowa Żadowa (prawdopodobnie w 1885 r.), obok których zwykle znajdowało się dość miejsca pod następne, jakkolwiek już bardziej oddalone od głównych szlaków komunikacyjnych - drogi bitej i kolei żelaznej, zbudowanej i oddanej do użytkowania (oficjalne otwarcie 30 listopada 1886 r.)

Połączenie kolejowe Głębokiej z Berhometem najwyraźniej przyspieszyło przemiany społeczno-ekonomiczno-kulturalne, a więc i religijne, skoro Żadowa, należąca wcześniej do parafii wyżnickiej, a od 1864 r. do stróżeńskiej i od lat osiemdziesiątych XIX w. wykazująca corocznie nie więcej niż kilkudziesięciu katolików, w schyłku stulecia nagle zwielokrotniała ich liczbę do 390 w r. 1898, 479 w r. 1905, 509 - w r. 1908, 568 - w latach 1910 - 1911. 641 - w latach 1912 - 1914. Niespotykany wcześniej przyrost katolików żadowskich nastąpił w wyniku charakterystycznych dla Bukowiny tamtych czasów migracji, a na przełomie wieków wskutek napływu znacznej ilości ludzi z Małopolski - Niemców, Polaków i Rusinów, zapewne najwięcej Polaków. Oni też najprawdopodobniej i pod koniec XIX w. i cały czas potem aż do 1945 r. byli większością wśród tamtejszych katolików, jeżeli według Grzegorza Cicimirskego w 1907 r. w Żadowie mieszkało 300 Polaków, w tym 40 dzieci w szkolnym wieku, co uprawniało do wprowadzenia języka polskiego jako wykłado-

Bukowińczyk
dodatek redagowany przy współpracy nr 19
z Fundacją Bukowińską
„Bratnia Pomoc” w Lubaniu kwiecień 98

wego. Trzy lata później, urzędowy spis przeprowadzony z końcem 1910 r. wykazał 369 Polaków w Żadowie na 5123 mieszkańców ogółem.

W następnych latach, na które przypadła pierwsza wojna światowa, polsko-bolszewicka wojna w 1920 r., przyłączenie Bukowiny do Rumunii w 1918 r. oraz związane z nimi ofiary i migracje, Żadowa zachowała właściwy sobie charakter. Pod koniec 1923 r. mieszkało w niej 450 Polaków, tylko trzykrotnie mniej niż w powiatowym Stróżeńcu, dzięki czemu zaliczana była przez rzeczoznawców do „osad czysto polskich” wraz z pięcioma innymi tj. Bułajami, Dunawcem z Laurenką, Nowym Sołóńcem, Pleszą i Rudą (obecna Moara). Podobny stan rzeczy utrzymał się w pozostałych latach, dwudziestych (1924-1929) i trzydziestych, choć rozmaici informatorzy odwiedzający Żadowy tych dziesięcioleci nader różnie i na ogół niedokładnie o nim się wypowiadali.

Jeden z nich w 1934 r. mówił, iż w Żadowie mieszka niewiele Polaków - zaledwie 35 rodzin - ale za to bardzo czynnych i widocznych. Drugi, mianowicie Piotr Mieczysław Wiwczaruk, przebywający tam służbowo w sprawozdaniu 23 kwietnia 1939 r. zapisał, iż „w Starej i Nowej Żadowie jest około 45 rodzin czysto polskich, a około 30 rodzin polsko-mieszanych”. Mimo to Nowa Żadowa jest centrum polskim religijno-oświatowym dla polskich osad położonych względem siebie w kilkumetrowych odległościach. Nieco mniejszą liczbę (66) rodzin katolickich (w tym 9 grekokatolickich) wykazuje spis sporządzony ręką ś.p. Władysława Bujaka, który najprawdopodobniej na początku lat czterdziestych sporządził stosunkowo dokładny wykaz rodzin żydowskich oraz liczby osób w nich znajdujących się. Zupełnie pominięto w nim katolików niemieckich, z czego należy wnosić, że ujęto w nim mieszkańców Żadowy po wyjeździe Niemców w listopadzie 1940 r., ale przed 1943/1944, gdyż np. pominięto to w owym spisie przynajmniej dwie rodziny katolickie (łącznie 7 dusz), które niewątpliwie mieszkały w Nowej Żadowie w latach 1942-1944 w bliskim sąsiedztwie wykonawcy spisu i choćby tylko z tego powodu żadną miarą nie mogły ująć uwagi, zostać przeoczone i pominięte.

Podobny stan rzeczy utrzymał się w Żadowach do schyłku 1945 r., tj. opuszczenia ich przez Polaków udających się do Polski. Do tego też czasu oni wyłącznie albo głównie nadawali ton w życiu środowiska, jakkolwiek przez niemal cały czas - wyłączając jakieś krótkie okresy byli w mniejszości.

Od włączenia Żadowy do parafii stróżeńskiej ważną rolę w jej życiu odegrali tamtejsi proboszczowie: ks. Andrzej Ptaszyński (ur. 1942, wyświęcony 1967 r.), ks. Józef Krzyżanowski (ur. 1871, wyśw. 1897 r.) oraz ks. Ignacy Kukla (ur. 1888, wyśw. 1914 r.). Szczególnie zasłużyli się dwaj pierwsi, zwłaszcza ks. Ignacy Krzyżanowski przez długie lata działający jako wikary i zarządzający parafią stróżeńską w imieniu proboszcza. Wydaje się, że oprócz żadowian ks. Andrzej Ptaszyński przyczynił się do wybudowania i poświęcenia drewnianej kaplicy w Nowej Żadowie w 1895 r., a jego praca duszpasterska oraz ks. I. Krzyżanowski wszechstronna i dobrze przyjmowana działalność oświatowa, społeczna, polityczna, dziennikarska, kaznodziejska przyczyniła się waleń do rozwoju i podniesienia rangi Żadowy jako osady katolickiej, której nie tylko mową, pismem ale przede wszystkim uczynkami poświadczano wierność Ewangelii. Po śmierci ks. Józefa Krzyżanowskiego (zm. w Stróżeńcu 24 października 1928 r.) w tym samym duchu i kierunku prowadził żadowian ks. I. Kukla następca ks. Józefa Krzyżanowskiego na probostwie stróżeńskim. Za jego proboszczowania Żadowa dojrzała do tego, aby stać się odrębną jednostką organizacyjną Kościoła Katolickiego na Bukowinie.

Najprawdopodobniej w 1937 roku bądź nieco wcześniej zapadła decyzja metropolity jasskiego ks. bpa Michała Robu o powołaniu do życia nowej parafii na czele z ks. proboszczem Wiktorem Skrablem, wcześniejszym proboszczem w Bojanie. Pierwszy proboszcz świeżo powstałej parafii obok innych czynności zaczął prowadzić księgi parafialne od początku 1938 r. Wynika z zapisów w owych księgach, że tę parafią była Nowa Żadowa (Jadova Noua) z przylegającymi do niej miejscowościami, wyrosłymi z prastarej Żadowy oraz niezbyt odległymi. Zatem w skład parafii nowożadowskiej weszła Nowa i Stara Żadowa (wraz ich częściami i po-



Czerniowce, wrzesień 1994 r.

Tak wyglądał tamtejszy DOM POLSKI (widok od frontu)

fot. Jan Bujak

chodnymi Bagno, Dąbrowa, Góra) tudzież Berhomet nad Seretem, Komarowce (Słoboda i prawdopodobnie Zrąb), Łukawiec (Niżny i Wyżny), Stanowce (Niżne i ...), Szypot nad Seretem.

Pod okiem ks. Wiktora Skrabla żywotność parafii nabrała nowego rozmachu, co dawało się zauważyć w wielu dziedzinach życia społeczności. Widać to był najwyraźniej na szybko postępujących pracach przy budowie nowej murowanej świątyni p.w. Świętej Trójcy. Wzmiankowany P.M. Wiwczaruk pod silnym wrażeniem na gorąco notował: „(...) budowanie nowego kościoła absorbuje wszystkie plusy materialne i czynne (...) Niemcy - katolicy - bo są i protestanci - we wspólnie z Polakami budują, na żądanie wymiary, potężny kościół, kupując tylko materiał niezbędny, a cegły, kostki betonowe itp. wytwarzają sami - dowożą drzewo, szuter i pracują na budowie - wszystko bezpłatnie”. Dzięki rzadkiej ofiarności, zgodnej i wyteżonej pracy u progu II wojny światowej w Nowej Żądowie stał nowy kościół i zabierano się do ostatnich prac wykończeniowych. Na ich przebiegu i skutkach, wreszcie losach młodej parafii fatalnie zaważyły germańsko-sowieckie grabieże RP i Bukowiny. (cdn)

Jan Bujak

Kino WAWEL zaprasza

Wkrótce:

głośny melodramat katastroficzny „Titanic” z Leonardo di Caprio - 14 nominacji do Oscara '98,

polski film o wojnie w Bośni „Demony wojny wg Goyi” z Bogusławem Lindą oraz ponadczasowa historia o różnych odmianach miłości „Kamasutra” pr. indyjskiej. Szczegóły na afiszach.

Kino zaprasza!

D

TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY JĘZYKA NIEMIECKIEGO

mgr Radosław Węglowski

TŁUMACZENIA

WSZELKIEGO RODZAJU

Lubań, ul. Lwówecka 7/5

tel./fax 722-68-54

tanio!

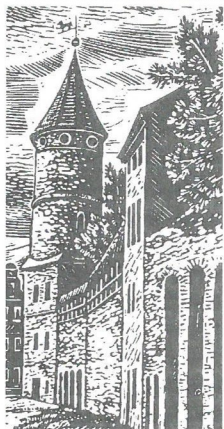
szybko!

NASZ KONKURS

Ten obiekt znajduje się we Lwówku Śląskim, jednak coś łączy go z Lubaniem. Co?

Na odpowiedzi czekamy do 25 kwietnia w redakcji.

Rozlosujemy nagrodę.



LUBAŃ



Klub „Renault” w Lubaniu działa

PLANY I ZAMIERZENIA

1. Klub „Renault” w Lubaniu zrzesza obecnie 83 osoby a w przyszłości liczymy się ze zwiększeniem stanu osobowego, gdyż wstępują do nas osoby spoza naszego rejonu np. z Warszawy, Krakowa, Katowiec.

2. Członkowie Klubu odbyli kilka spotkań na terenie Jeleniej Góry, Podgórzyna w ramach turystyki kajakowej. Braliśmy udział w Rajdzie Jeleniogórskim (jako obserwatorzy - p. zdjęcie).

3. Przeprowadzono zajęcia przez funkcjonariusza policji z Lubania dotyczące „prowadzenia nowego kodeksu drogowego” oraz zapoznania członków Klubu „Renault” z zasadami ubezpieczeń przez firmę PZU w Lubaniu.

4. Obecnie planujemy - w kwietniu przeprowadzenie szkolenia członków Klubu z zasad udzielania pierwszej pomocy w razie wypadku drogowego dla osób poszkodowanych. Szkolenie to będą przeprowadzać lekarze - członkowie naszego Klubu.

5. Członkowie Klubu „Renault” w Lubaniu dzięki swojemu działaniu i współpracy z firmą PZU zostali usatysfakcjonowani przez Inspektorat PZU w Lubaniu gratyfikacją w postaci dodatkowej zniżki 10% przy zawieraniu umów ubezpieczeniowych Autocasco, co pozwoliło pozostawić sporo pieniędzy z ubezpieczenia samochodu we własnej kieszeni.

6. Z okazji 100-lecia istnienia firmy „Renault” planuje się spotkanie z przedstawicielem firmy „Renault Polska” w Lubaniu oraz promowanie naszego klubu na terenie Polski.

7. Uzyskaliśmy też pomoc firmy „Perfekta”, której pomieszczenia są siedzibą Klubu, tj. promocję w postaci 10% zniżki dla członków przy wykonywaniu napraw, przeglądów przez tą firmę.

8. Klub „Renault” posiada członków na terenie Lubania, Zgorzelca, Bogatyni, Bolesławca, Leśnej, Nowogrodzka.

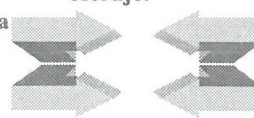
9. Planujemy nawiązanie kontaktu ze Stowarzyszeniem „Zamek Czocho” celem propagowania pięknych walorów tego zamku, jak i rejonów turystycznych tego regionu. Planuje się zorganizowanie rajdu „Szlakiem Zamków Dolnego Śląska”, co pozwoli naszym członkom na zapoznanie się z pięknem naszych ziem.

Kontakt: prezes Klubu - Tadeusz Bartel, tel. 722-55-86

lub firma „PERFEKTA” tel. 722-25-50.

HELA ZAKŁAD WULKANIZACJI SERWIS OGUMIENIA autoryzowany dealer TC Dębica oferuje:

- naprawę ogumienia
- wymianę opon
- montaż kół
- korzystne ceny



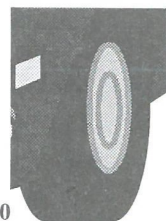
posiada w sprzedaży:

- opony
- dętki

Czynny codziennie od 9.00 - 17.00
w soboty od 9.00 - 14.00

Zakład mieści się w Lubaniu przy ul. 7 Dywizji 12 (obok kina)
WYSTAWIAMY FAKTURY VAT

ZAPRASZAMY



SPORT

Przed nim stadiony Europy !

Krzysztof Krawiec, lat 30, żonaty, córka Karolina, mieszkawiec Lubania zatrudniony w Zakładzie Energetyki Ciepłej, sędzia piłkarski szczebla centralnego, od ubiegłego roku sędzia asystent UEFA.

- Od kiedy interesuje się Pan sportem?

- Sportem zajmuję się od 6 klasy szkoły podstawowej, grałem w „Łużycach” natomiast sędzią piłkarskim zostałem od 1992 roku. Interesujące jest to, że znaczna część mojej rodziny obracała się w kręgach lubańskiego sportu. Żona - grała w siatkówkę w II-ligowym MKS, mój teść był sędzią III ligi, obsadowcem, trenerem.

- Obecnie jest Pan sędzią asystentem (liniowym) UEFA, sędziuje Pan na tej pozycji w kraju spotkania I ligi. Myślę, że Czytelników zainteresuje droga, jaką tak młody człowiek trafił na europejskie stadiony.

- Już to wielokrotnie mówiłem, a teraz powtórzę, że w życiu konieczne jest szczęście. Oczywiście trzeba posiadać zauważalne przez innych predyspozycje, trzeba wreszcie spotkać na swojej drodze kogoś takiego jak Andrzej Szczelkun. Bez jego pomocy sędziowałbym pewnie klasę okręgową. Andrzej, będąc wówczas sędzią I ligi i sędzią asystentem międzynarodowym, pomógł mi wypłynąć na szersze wody piłkarskiego sędziowania. W 1993 roku po meczu w Nowogrodźcu, podszedł do mnie, pogratulował dobrze poprowadzonego meczu i obiecał mi... sędziowanie w I lidze! Nie stało się to od razu, ale po dwóch latach wybiegłem po raz pierwszy jako asystent Andrzeja w meczu ligowym. W zajęciu, które jest niewątpliwie moim hobby, swoistą przygodą, niewielu sędziów awansuje tak szybko. Ja miałem duże szczęście, że doceniono mój warsztat sędziowski i umiejętności.

- Kolejne moje pytanie jest stereotypowe, ale muszę je zadać, gdyż odpowiedź niewątpliwie zainteresuje naszych Czytelników. Jak Pan godzi swoją fascynację sportem z pracą i obowiązkami rodzinnymi?

- Moja żona od dziecka wychowywana była w atmosferze życia sportowego. Częste wyjazdy ojca, a później już jej samej, związane z grą w siatkówkę, przygotowały Anię do tego, że sport to poświęcenie czasu własnego. Tak więc, traktuje moją nieobecność w domu ze zrozumieniem. Być może, nie bez znaczenia jest strona finansowa mojego sędziowania w polskiej lidze oraz na boiskach Europy. W pracy również spotykam się z dużą przychylnością. Dzięki zrozumieniu prezesa Zdzisław Kuchmistrza oraz kolegów, a w szczególności Czeska, mogę pogodzić pracę zawodową z sędziowaniem.

- Jest Pan sędzią asystentem szczebla centralnego, sędziującym w naszej I lidze. Ostatnio na polskich boiskach jest spokojniej niż na trybunach. Jak się czuje sędzia w samym środku piłkarskiej „zadymy”?

- Rzeczywiście, w ubiegłym roku dochodziło do wielu skandalicznych zachowań kibiców. Byliśmy niejednokrotnie świadkami poważnych starć grup kibiców między sobą, jak i solidarnie z policją. Pamiętam mecz w Warszawie pomiędzy „Polonią” a „Legią”. Asystowałem Andrzejowi Szczelkunowi. Telewizja pokazała wprawdzie grozę wydarzeń na trybunach jednak, nikt z państwa zapewne nie był nigdy celem gradu kamieni



lejących z trybun. Odniosłem wrażenie, że kibice siedzący po drugiej stronie boiska nie obserwowali od pewnego momentu samego meczu, lecz przeciwnie trybunę! Jak na ironię, na ten mecz organizatorzy przygotowali okolicznościowe koszulki z nadrukiem BEZPIECZNY STADION.

- Jest Pan kolejnym w województwie jeleniogórskim, po Andrzeju Szczelkunie, sędzią asystentem UEFA. Zapewne przywiózł Pan z zagranicznych wojaży sporo wrażeń?

- W ubiegłym roku brałem udział w 4 wyjazdach. Same spotkania nie były może dla mnie takim przeżyciem, jak to, co zobaczyłem dzięki uprzejmości organizatorów. Najcieplej wspominam wyjazd na Korsykę i spotkanie Bastii z Cassino Gratz z Austrii.

Na spotkania międzynarodowe UEFA wyposażyla nas w stroje firmy Adidas. Wynika to z podpisanej wzajemnej umowy i musimy tego rygorystycznie przestrzegać.

Pragnę jeszcze podkreślić kulturę w zachowaniu kibiców na boiskach europejskich. Mecz jest festynem, przedstawieniem, zarówno w wykonaniu zawodników jak i kibiców. Piękne stadiony, wysoki poziom sztuki piłkarskiego sprzyjają dobremu widowisku.

- Swoją karierę piłkarską rozpoczął Pan w „Łużycach” Lubań. Czuję się Pan zapewne związany emocjonalnie z tym klubem. Jak ocenia Pan obecną sytuację w lubańskiej piłce nożnej i czy nie myślał Pan o pracy społecznej w klubie?

- Rzeczywiście pozostał mi duży sentyment do „Łużyc” i życzę klubowi jak najlepiej. Jako sędzia, zmuszony jednak jestem zachować pewien dystans aby nie być posądzonym o ingerencję w wyniki sportowe. Pragnę podkreślić bardzo dobrą współpracę z młodzieżą. Klub niemal wzorowo realizuje szkolenie trampkarzy i juniorów, a I zespół ma aspiracje gry w klasie międzynarodowej. Martwi mnie jednak skąpe dotowanie lubańskich klubów przez Radę Miejską. Uważam, że lubańscy radni pozwalają klubowi dobrze współpracującemu z młodzieżą jedynie na egzystencję sportową, a to zbyt mało aby działacze klubowi wraz z trenerami, mogli spokojnie realizować ambitne cele szkoleniowe. Kluby sportowe z okolicznych gmin otrzymują dużo większe dotacje. Rodzime gminy umożliwiają tym klubom dochodową działalność gospodarczą. Przykładem są Olszyna, Leśna, Nowogrodziec. Oby tylko wyniki sportowe „Łużyc” nie przeżyły możliwości finansowych klubu!

- Dziękuję za rozmowę i życzę w imieniu Czytelników oraz swoim własnym sukcesów na boiskach krajowych i zagranicznych.

Rozmawiał: Zbigniew Madurowicz



Korsyka, Stadion Bastii. Od lewej: K. Krawiec, Z. Ziober, A. Szpak, sędzia techniczny z Francji

OLSZYNA**Wieści z gminy**

3 marca odbyły się dwa przetargi. Pierwszy miał na celu wyłonienie rzeczoznawcy majątkowego, który dokonywałby wyceny nieruchomości na terenie Gminy Olszyna. Wpłynęło pięć ofert. Zarząd wybrał ofertę pani Lili Offman, która wykonywała powyższe usługi również w roku ubiegłym.

Drugi dotyczył wyłonienia kandydata do wykonywania usług geodezyjno-kartograficznych na terenie gminy. Wpłynęły trzy oferty. Najkorzystniejsza okazała się oferta Przedsiębiorstwa Geodezyjno-Kartograficznego z Bolesławca.

24 marca odbył się I etap konkursów mających na celu wyłonienie kandydatów na stanowiska: pełnomocnika Zarządu do Spraw Rozwiązywania Problemów Alkoholowych oraz pedagoga prowadzącego świetlicę socjoterapeutyczną dla dzieci i młodzieży z rodzin patologicznych. Na pierwszy konkurs wpłynęły dwie oferty, na drugi trzy. Wszystkie zostały zakwalifikowane do II etapu, w którym zostaną przeprowadzone rozmowy kwalifikacyjne, a po nich wybór kandydatów na te stanowiska.

Świetlica socjoterapeutyczna zostanie zorganizowana w pomieszczeniach znajdujących się w nowo wybudowanej części Szkoły Podstawowej nr 3, a nie jak wcześniej planowano w budynku po byłym kinie. Będzie to świetlica gminna, do której będą mogły uczęszczać dzieci z Gminy Olszyna. Zostanie wyposażona w zaplecze sanitarne oraz socjalne, w którym dzieci samodzielnie będą mogły przygotowywać sobie drobne posiłki typu podwieczorek.

Zakończono wizytacje dwóch olszyńskich szkół nr 2 i 3. Przeprowadzała je wizytator Wacława Woźniak z Delegatury Kuratorium Oświaty w Lubaniu. Zarząd Gminy przeanalizuje wnioski z przeprowadzonych wizytacji oraz zapozna się z zaleceniami powizytacyjnymi. Następnie wspólnie z organem prowadzącym nadzór pedagogiczny nad szkołami ustali oceny prac dyrektorów powyższych placówek. Na ich podstawie określono zostanie tryb powierzenia funkcji dyrektorów szkół.

W związku z planowaną przez rząd reformą oświaty Zarząd Gminy postanowił współfinansować studia podyplomowe olszyńskich nauczycieli na kierunku Ewaluacje. Umożliwi to doksztalcenie i wprowadzenie innowacji w systemie nauczania. Dofinansowanie będzie przyznane czterem nauczycielom ze szkół podstawowych. Po ukończeniu studium będą służyli pomocą swoim kolegom z terenu Gminy Olszyna m.in. tworząc samokształceniowe zespoły tematyczne.

Rada Sołecka wsi Bożkowice wystąpiła do Zarządu Gminy z wnioskiem o przekazanie im sali gimnastycznej po zlikwidowanej szkole. 18 lutego odbyło się wspólne posiedzenie rady i zarządu. Ustalono, że sala zostanie przekazana sołectwu, musi jednak wpłynąć do urzędu oficjalny wniosek. Rada Gminy ustali wówczas zasady przekazania i korzystania z sali. Mieszkańcy wsi chcą wykorzystywać ten obiekt jako świetlicę wiejską i kaplicę, część wydzierżawić z przeznaczeniem na sklep. Ze swojej strony Zarząd Gminy zobowiązał się:

- zwolnić Radę Sołecką z podatku od nieruchomości za użytkowane mienie,

- pomóc przy naprawie pokrycia dachowego, kierując do tej pracy robotników publicznych.

Gminny Ośrodek Kultury zobowiązał się do udzielenia pomocy finansowej na pomalowanie obiektu.

Rada Gminy wyraziła zgodę na zbycie kompleksu pałacowo - parkowego mieszczącego się w Olszynie przy ul. Chopina 39. Do Zarządu napłynęły oferty osób zainteresowanych tym kompleksem. Na posiedzenie Zarządu 18 lutego przybył pan doktor Bogusław Jasiński. Reprezentuje on firmę ETOS Enterprises z Warszawy. Firma jest zainteresowana nabyciem obiektu celem zorganizowania tam działalności proekologicznej.

Inną osobą zainteresowaną nabyciem obiektu jest Holenderka pochodzenia polskiego pani Lidia von Voskuilen. Przybyła na posiedzenie Zarządu 17 marca. Oprócz chęci nabycia kompleksu pałacowo - parkowego pani von Voskuilen proponowała pomoc w nawiązaniu współpracy między Gminą Olszyna a jedną z gmin holenderskich. W obydwu przypadkach najważniejszym tematem rozmów pomiędzy Zarząd Gminy a prawdopodobnymi nabywcami było zabezpieczenie interesów lokatorów zamieszkujących pałac.

25 marca Rada Gminy podjęła uchwałę o zbyciu przedmiotowej nieruchomości w drodze pisemnego przetargu nieograniczonego.

Z Zarząd Gminy Olszyna skontaktował się przewodniczący Zarządu Miasta i Gminy Leśna pan Zbigniew Ławniczak. Leśna od dawna boryka się z problemami składowania odpadów komunalnych. Z tego względu jej władze są zainteresowane wstąpieniem do międzygminnego porozumienia w sprawie budowy komunalnego wysypiska śmieci. Porozumienie takie zostało podpisane w ubiegłym roku pomiędzy Lubaniem, Olszyną i Siekierczynem. Zarząd Gminy Olszyna w pełni akceptuje starania Leśnej w realizacji wspólnej inwestycji.

12 marca odbyło się spotkanie przedstawicieli: ZUS oddział w Kamiennie Górze, Urzędu Gminy Olszyna, Urzędu Skarbowego w Lubaniu z przedstawicielami Zarządu Olszyńskich Fabryk Mebli. Tematem spotkania było określenie wspólnego stanowiska w sprawie pomocy dla OFM w związku z trudną sytuacją finansową spółki. Przedstawiciele wierzycieli tj. ZUS, Urząd Skarbowy i Urząd Gminy oraz osoby reprezentujące dłużnika, biorąc pod uwagę niemożność uregulowania zaległości podatkowych oraz konieczność uzyskania płynności płatniczej, podpisali protokół uzgodnień. Zgodnie z nim wierzyciele rozłożyli wysokość zaległości podatkowych wraz z odsetkami na raty (od marca do sierpnia br.). Pozostała kwota zostanie odroczone z terminem płatności do 30 września br. Jeżeli OFM w terminie spłaci pierwsze raty pozostała kwota zostanie również rozłożona na raty (od września br. do grudnia 2000). (inf.wł.)

SEKIERCZYN**Co u Pana słuchać?****Odpowiada:****Janusz Niekrasz - wójt gminy Siekierczyn**

Realizujemy na bieżąco tegoroczne zadania. Kontynuujemy budowę kanalizacji - mamy już wykonany jej I etap. Zaręba została połączona z Lubaniem. Teraz prace obejmą całą Zarębę Dolną i częściowo Zarębę Górną (do szkoły). Będzie to około 100 gospodarstw domowych. Jesteśmy po przetargu - prace wykonywać będzie firma p. Tadeusza Ścieśka z Legnicy.

W Szkole Podstawowej w Siekierczynie zamierzamy zmienić system jej ogrzewania. Blisko 40-letnie ogrzewanie tradycyjne na węgiel i koks chcemy zastąpić innym - na olej opałowy. Będzie to inwestycja proekologiczna, którą chcemy oddać do użytku w roku szkolnym 98/99. W planie mamy też remonty dróg. Konkretnie dwie drogi - przy cmentarzu w Siekierczynie i druga - śródpolna, łącząca Siekierczyn Górny z Dolnym.



Pawilon handlowy w Siekierczynie-krzyżówka zaprasza.
Tu można kupić również nasz „Przegląd Lubański”

Meldunek z Olszyny:

Jedną połowę domu strawił ogień, drugą nadgryza ząb czasu zaś właściciele... śpią!



Kronika policyjna

19.02. około godz. 20.20 przy przejściu w Miłoszowie funkcjonariusze Straży Granicznej zatrzymali nietrzeźwego kierowcę samochodu osobowego marki Ford (2.03 promilla alkoholu). Pił za granicą? Opłaciło się?

Wieczorem 19.02. na przystanku PKS w Olszynie na autobus oczekiwali małżonkowie, mieszkańcy Lubania. Pojawili się tu trzej nietrzeźwi mężczyźni, którym spokój kobiety i jej partnera wyraźnie przeszkadzał. Zaczęli więc zachowywać się, oględnie mówiąc, po chuligańsku. Używali wobec małżonków słów wulgaryzmów, nieprzyzwoitych. Mężczyzna nawet został uderzony w twarz. Pokrzywdzony zaczął bronić siebie i żony, stawiając fizyczny opór. Mężczyźni przepychali się... W międzyczasie kobieta z ulicznego aparatu telefonicznego wezwała pomocy policyjnej, mimo, że jeden z napastników wyrwał jej z ręki słuchawkę! Zanim przybył z odsieczą patrol, napastnicy ulotnili się.

Z 19/20.02. nieznani sprawcy dokonali kradzieży z włamaniem do pawilonu handlowego w Zarębie. Wybili otwór w bocznej ścianie budynku. Skradli artykuły spożywcze.

13.03. włamywacze po raz kolejny zamierzali dotrzeć do wnętrza sklepu w Zarębie (własność GS w Siekierzynie). Jak zwykle „psuli” jedną ścianę. Czas najwyższy podjąć decyzję na najwyższym gminnym szczeblu i coś postanowić w sprawie tego sklepu.

W nocy z 13/14.03 nieznani sprawcy dokonali kradzieży z włamaniem do baru „Kufelek” we Włosieniu. W tym celu wyłamali zamki w drzwiach. Wstąpili na kufelek piwa?

W nocy z 13/14.03. „ktoś” włamał się do garażu w Pobiednej. Odjechał rowerem. W tej miejscowości dokonano kolejnej kradzieży z włamaniem do garażu w nocy z 15/16.03. Tym razem skradziono opony od ciągnika rolniczego.

16.03. w Olszynie dokonana została kradzież mieszkaniowa. Do jednego z mieszkań przybyła nieznana kobieta, która starszej pani obecnej w mieszkaniu przedstawiła się jako pracownica opieki społecznej. Aby uwiarygodnić swą wizytę powiedziała, że ma dokonać wypłaty pieniędzy. Wpuszczona do mieszkania zdołała skraść biżuterię i pieniądze.

Uwaga na obcych nieznanych nam ludzi zamierzających wejść do naszych mieszkań... Trochę nieufności wobec obcych nie zaszkodzi!

W nocy z 18/19.03. na ul. Chopina w Lubaniu nieznany sprawca włamał się do mieszkania, z którego nic nie skradł. Spłoszono go?

19.03. zatrzymano nieletniego mieszkańca podlubańskiej wsi. Podejrzany jest o dokonanie kradzieży skarbonki ze sklepu przy ul. Łużyckiej w Lubaniu. Zbierane w niej były datki na... pomoc chorym dzieciom. A może był chory?

W nocy z 22/23.03. włamywacze „odwiedzi” garaż w Jałowcu. Skradli tu butle tlenową i acetylenową z węzami niezbędnymi do spawania. Zaś w nocy z 21/22.03 „ktoś” włamał się do garażu przy ul. Worcella w Lubaniu. Skradł radioodtwarzacz z garażowanego samochodu.

Na lubańskich drogach

Nadal niebezpiecznie. Wiele zdarzeń ma związek z nieprzestrzeganiem przepisów prawa o ruchu drogowym przez pieszych i rowerzystów.

11.03. w Lubaniu na ul. Warszawskiej kierujący rowerem wykonywał skręt w lewo chcąc wjechać na przejazd kolejowy. Prawdopodobnie oślepiany przez słońce nie zauważył samochodu nadjeżdżającego z przeciwka. Wykonu-

PRZEGŁĄD arka LUBAŃSK a

Sami widzieliśmy,

jak w Olszynie pod Kościołem Podwyższenia Krzyża Św. leży ... krzyż między gruzami! Panie Boże, widzisz i nie grzmisz!

Obiecaliśmy, że pokażemy

jak wygląda od lat ulica Wojska Polskiego obok kasyna Straży Granicznej. Poniższe zdjęcie dedykujemy ABK nr 2 i (bez)radnemu członkowi Zarządu Miasta z tego okręgu - Januszowi Głuszkowi (dawniej SLD - obecnie ???).



jąc zamierzony manewr spowodował czołowe zderzenie roweru z samochodem osobowym. Kierujący rowerem na szczęście nie doznał obrażeń. Natomiast w samochodzie została wybita szyba i ciałem rowerzysty wgnieciona karoseria.

12.03. na ul. Torowej 65-letnia kobieta zjeżdżała na chodnik (manewr skrętu w lewo) tuż przed nadjeżdżającym z przeciwka „polonezem”. Kierowca samochodu zdołał (na szczęście!) ominąć rowerzystkę. Ta jednak przewróciła się na jezdnię, wskutek czego doznała obrażeń ciała.

16.03. około 20.40 piesza przebiegała przez ul. Warszawską. Wtargnęła pod samochód osobowy. Doznała obrażeń ciała.

17.03. około 5.35 na ul. Łużyckiej w Lubaniu pieszy wtargnął na jezdnię wprost przed nadjeżdżającego Fiata 125p.

Policja apeluje do pieszych i rowerzystów aby pamiętali o swym bezpieczeństwie na drogach!

EKP

PRZEGŁĄD LUBAŃSKI

MIESIĘCZNIK LOKALNY

UKAZUJE SIĘ OD STYCZNIA 1992

NAGRODA I STOPNIA

W OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE IDEE DLA PRASY LOKALNEJ • WARSZAWA 1994

Wydawca: „LOG-INFO” - Usługowy Zakład Informatyki. Adres wydawcy i redakcji: 59-800 Lubań, ul. Podwa-
le 7, tel./fax (075)722-67-00. Redaguje zespół: Janusz Skowroński (redaktor naczelny), Zbigniew Maduro-
wicz, Izabella Ślęk. Stale współpracują: Jan Bujak, Jan Gałus, Henryk Rogacki, Paweł Rudkowski, Euge-
niusław Zawistowski, Henryk Żyliński (London, Kanada). Wpisywanie tekstów, skład i skanowanie - własne
oraz „LOG-PRESS” OFICyna WYDAWNICZA Elżbieta Skowrońska 59-800 Lubań, ul. Warneńczyka 4, tel.
(075)722-55-02. Druk: TYPOSCRIPT Wrocław, ul. Wojszycka 15. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada i
rezerwuje sobie prawo do skracania materiałów nie zamówionych. Wszystkie zdjęcia wykonano na materia-
łach Kodak, dostarczonych dzięki uprzejmości ROYAL-fotolabor w Lubaniu, ul. Grunwaldzka 3/2.